



TŁUM.

Dr BRONISŁAW ŁOZIŃSKI.

TŁUM.

SZKIC SOCYOLOGICZNY.

Senatores boni viri, senatus autem
mala bestia.



W KRAKOWIE,
NAKŁADEM KSIĘGARNI SPÓŁKI WYDAWNICZEJ POLSKIEJ.
1895.



CM 314462

W KRAKOWIE, W DRUKARNI «CZASU» FR. KLUCZYCKIEGO I SP.
pod zarządem Józefa Łakocińskiego.

Wpisano do Księgi Akcesji

Akc. DI nr /2011/ CM

I.

Większość i mniejszość.

Człowiekowi z wyższym ustrojem psychicznym, mianowicie z czystym a obfitem źródłem uczuć i takim żywym polotem fantazyi, że łatwo może odrywać się od uciążliwej a jednolitej rzeczywistości i przenosić w stworzony sobie myślą świat osobny, pełen wymarzonego uroku, przykro zapewne budzić się z takiego snu czarownego i powracać do zwyczajnego trybu życia. Tacy ludzie, wzdychający zawsze do ponętnych chwil samotnej refleksyi, mogą sobie powtarzać znane zdanie La Bruyere'a: *Tout notre mal vient de ne pouvoir être seuls*. Przeniesione po za sferę psychologiczną w normalne stosunki życia społecznego, zgeneralizowane bez względu na różnorodność organizacyj psychicznych, zdanie to staje się, zwłaszcza w świetle socyologicznem, paradoksem oczywistym, a wyższość nad niem posiada głęboka sentencya chrześcijańska, biadająca nad osamotnionym (*vae soli*).

Cała historia kultury, historia ludzkości wogóle, z włączeniem wszystkich hipotez, sięgających w czasy przedhistoryczne, stwierdza ten niewzruszony dla badań socyologicznych pewnik, że byt człowieka nie da

się pomyśleć ani w odosobnieniu, ani w tłumnej, ale żadnym organicznym węzłem społecznym w całość niepołączonej, aglomeracji. Żeby więc powstać mogło takie pragnienie samotnej refleksyi, jakie przebija ze słów La Bruyère'a, żeby człowiek znalazł w niej dla ducha świat, odrywający go od rzeczywistości a pełen uroku, i żeby był zdolny do używania tak subtelnej rozkoszy, do tego potrzebnem jest, jako warunek niezbędny, takie poprzednie przygotowanie, a raczej wykształcenie ustroju psychicznego, jakiego nabyć można tylko w społeczeństwie, jako uniwersalnej szkole cywilizacyjnej, tylko w nierozdzielnej organicznej łączności ze społeczeństwem, przechowującym dla każdego pokolenia skarby kultury, wiekowym trudem już zdobyte, i pomnażającym nieustannie te skarby dla przyszłych pokoleń.

Ze stanowiska socyologicznego zatem konieczność należenia do związku społecznego, a więc antyteza owego idealnego osamotnienia w wybujałym indywidualizmie, stanowi dla człowieka najwyższe dobrodzieństwo, gdyż czyni go uczestnikiem wszystkich zdobyczy cywilizacyjnych, o które dobijał się nieskończony szereg pokoleń poprzednich. W chwili zniszczenia tego związku, nietylko ustałby dalszy dorobek cywilizacyjny, lecz nadto musiałyby zmarnieć i cała nasza wiekowa spuścizna cywilizacyjna. Jeżeli więc ta konieczność należenia do społeczeństwa, konieczność życia wśród społeczeństwa, łączy się czasem z takimi dolegliwościami, że myśl rwie się do marzeń o samotnej refleksyi, jako do stanu idealnego; to z drugiej strony ta sama konieczność jest niewyczerpanem źródłem i najpewniejszą gwarancją tych wszystkich dóbr nieocenionych, które daje cywilizacja, a bez których nie byłoby nawet komu marzyć o wznie-

sieniu się po nad poziom rzeczywistości w sferę wymarzonego świata idealnego.

W jaki sposób człowiek godził poczucie indywidualizmu z tą koniecznością istnienia w nierozzerwalnym związku społecznym z innymi ludźmi i z koniecznością poddawania uniesień indywidualizmu pod jednolite prawidła społecznego pożycia, czyli jakie formy przybierało w poszczególnych stadyach cywilizacyjnych to pożycie ludzi, stosunkami naturalnemi do siebie zbliżonych i na to pożycie niejako skazanych, to stanowi kwestyę, w której streszcza się nietylko historia ustrojów społeczno-państwowych, lecz, jak z powyższych uwag wynika, poniekąd nawet historia całej kultury.

Zaznaczamy tylko ogólnikowo szerokie granice tej kwestyi, aby jak najprędzej wejść z czytelnikiem w obręb właściwego tematu. Pierwszym krokiem na tej drodze jest uznanie bez dalszych wstępnych wywodów panującej roli, jaką obecnie odgrywa zasada supremacji większości we wszystkich zakresach życia, zasada obwarowana sankcją nietylko konwensową w towarzyskiem życiu, lecz także prawną i moralną na całym obszarze życia publicznego. Większości poddajemy się w życiu towarzyskiem, bo się jej poddać musimy, jeżeli życie to ma być wogóle możliwe; większości przekazane jest dyktowanie ustaw, zwłaszcza w dzisiejszym systemie parlamentarnym; wreszcie większość wymaga uznania swojej supremacji z tytułu moralnego, gdyż dobro ogółu nie da się pomyśleć bez karności i zaparcia się indywidualnych zachcianek w łącznem dążeniu do celu, przez przeważającą opinię za dobrym uznanego.

Zdawałoby się, że supremacja większości, oparta na niewzruszonej, niejako matematycznej podstawie, a nadto taką sankcją obwarowana, stanowi formułę

niezachwianą w swojej powadze. Czy tak jest rzeczywistość, czy tak jest — żeby zaznaczyć aktualny charakter rozprawy — szczególnie w chwili obecnej? Trudno na pytanie to dać odpowiedź twierdzącą, chociażby tylko z tego powodu, że prawidła pożycia społecznego z taką powszechnie uznawaną, niezachwianą powagą, stanowiłyby ideał, którego właściwością znamionną jest przeciw zawsze i wszędzie — istnienie po za sferą rzeczywistości, jako jego profanacja.

W życiu nawet rzeczy święte wystawione są na profanację. Tem więcej narażone być muszą na ten los wszystkie hasła podniosłe, pod którymi w gorączkowem życiu publicznem dzisiejszej doby poczynają się i rozwija akcja, czy to jednostek, czy stronnictw, wogóle wszelkich związków społecznych. Życie to bowiem zakreśla coraz szersze kręgi, obejmuje coraz liczniejsze koła, komplikuje coraz więcej interesy i wprowadza w grę najróżnorodniejsze motywa, dążności i cele. Nie sama zła wiara zamąca pojęcia o takich hasłach i nadużywa ich do celów szkodliwych, lub przynajmniej poziomych. Obok niej kuglarstwo polityczne, obliczone na łatwowierność i nieogłędność ogółu, umie wielkimi słowami maskować swoje małe aspiracje i zachcianki, aby zjednać dla nich interes i poparcie ogółu. Weźmy n. p. hasło tego rodzaju, najczęściej podnoszone z formalnem namaszczeniem, hasło nad hasłami, hasło, które każdy prawy obywatel uważa, a przynajmniej uważać powinien, za punkt wyjścia i ostateczną dyrektywę działalności swojej, weźmy interes publiczny, dobro publiczne. Zdawałoby się, że hasło to jest zbyt poważne, nawet święte, aby mogło być nadużywane dla celów niegodziwych. A jednak — żeby zasłonić się w tem surowem zdaniu powagą, wysoko cenioną właśnie w tem społeczeństwie, które posiada najoblizsze i najboleśniejże zara-

zem doświadczenie w tej mierze ¹⁾, — »interes publiczny służył za pretekst wszelkim wybrykom i wszelkim strasznym nadużyciom, przez historię pamięci przekazanym. Wszakże w imieniu interesu publicznego, nawet dobra publicznego, usiłowano usprawiedliwić noc św. Bartłomieja, rzez wrześnieową w czasie wielkiej rewolucyi, trybunał rewolucyjny i inne sceny, niemniej krwawe i niemniej sromotne dla ludzkości. W imieniu dobra publicznego zatrzymano w konstytucyi amerykańskiej niewolnictwo, które potem, dzięki sprawiedliwemu odwetowi, doprowadziło do wojny domowej. Niema wybryku tak haniebnego, niema ustawy tak niegodziwej, niema tyranii tak wstrętnej, ani dyktatury tak dzikiej, któraby nie apelowała do tej formuły piekielnej, nadającej się zarówno do uciskania, jak i do korrupcyi narodów«.

»Formułą piekielną« stawało się dobro publiczne, według tych przykładów nie tylko z winy jednostek, absolutną władzą wyposażonych, lecz także w ręku ciał reprezentacyjnych. Służyła tedy w ostatnim wypadku tej formule piekielnej, jako powolne narzędzie, i z nią smutny los profanacyi dzielić musiała także i poważna zasada dzisiejszego życia publicznego, jedna z jego norm zasadniczych — zasada supremacyi większości.

Zdawałoby się, że supremacya większości, jako norma polityczna, w naszym szczególnie społeczeństwie, powinnyby posiadać więcej powagi, niż gdziekolwiek, już z tego powodu, iż stanowi antytezę *liberum veto*, tego smutnego wyrazu anarchii, pozornie ulegalizowanej, obciążonego takim zasłużonem przekleństwem historycznem. Czy tak jest rzeczywiście?

¹⁾ Ad. Franck: *Philosophie du droit penal*, II, ed. Paris, 1880, str. 20.

I na to pytanie nie można dać odpowiedzi twierdzącej. Gdybyśmy bowiem nawet przyjęli za rzecz pewną, że wypełniliśmy już na zawsze z naszego charakteru narodowego ową żyłkę politycznego anarchizmu, którego wyrazem było *liberum veto*, to jeszcze nie wynikałoby zład, iż stoimy dziś wyżej, niż inne społeczeństwa i przejęci duchem karności wcale tego nie czujemy, co w tej supremacyi większości razi, co do niej zniechęca, co ją na profanację a raczej na nadużywanie ciągle wystawia. Uwagą tą wykonaliśmy zwrot na pole zasadniczej analizy kwestyi, dając do zrozumienia, że co najmniej są i na tem słońcu politycznem plamy, niedostrzegalne tylko dla gołego oka w powierzchownej obserwacji, ale mimo to plamy rzeczywiste, dające się sprawdzić przy ściślejszem badaniu.

Postawmy sobie odrazu pytanie najbliższe samej istoty rzeczy: Czy zasadę większości uważać można za tak pewną miarę słusznej, rozumnej i pożytecznej decyzji w sprawach publicznych, jak niewzruszonym jest w swej ścisłości jej typ matematyczny, ów pewnik, że dziesięć znaczy więcej, aniżeli jeden, a chociażby i dziewięć? Już sam wzgląd na to, że w pierwszym wypadku chodzi o ludzi, o indywidualności z odrębnymi organizacjami aparatów myślenia, z nierówną miarą wiedzy i doświadczenia, z różnemi dążnościami a chociażby tylko temperamentami, w drugim wypadku zaś o martwe i wieczyste jednakowe cyfry, wprost wyklucza taką analogię, jaka się mieści w pytaniu. Zresztą nawet tam, gdzie motyw matematyczny najściślej łączy się z supremacją większości, w systemach wyborczych, już oddawna spotyka się ona z niebezpieczną krytyką, która powoli, ale wytrwale i z widocznym, chociaż na razie tylko w sferze

teorii zamkniętym skutkiem, podkopuje wiarę w doskonałość zasady, przenoszącej matematyczny tytuł przewagi większej liczby nad mniejszą w zakres życia publicznego. Na razie, ale tylko na razie, krytyka ta ogranicza swoje aspiracje jedynie do żądania ulgi w tej przewadze przez zapewnienie jakiejś takiej reprezentacji dla mniejszości ¹⁾).

Ale nawet w głosach, które supremację większości traktują z ogólnego stanowiska, z wiarą w jej słuszność i z pełną ufnością w jej zbawiennosc, apologia dziś już zaczyna się, co jest w każdym razie symptomem charakterystycznym, od osłabiania ataków wymierzanych przeciw tej supremacji, nie przez samych publicystów w imię przemijających interesów i panujących stronnictw politycznych, więc z motywów z natury swojej chwiejnych i zmiennych, lecz przez filozofów w obronie praw indywidualności, których społeczeństwo, dbałe o swój rozwój wszechstronny, nie powinno zupełnie poświęcać dla respektu przed ustalonymi *vi inertiae* formułami życia publicznego.

Pod osłoną takich powag naukowych, jak I. S. Mill i H. Spencer, jeden oddział przeciwników bezwarunkowej supremacji większości walczy pod hasłem liberalizmu i indywidualizmu. Ze stanowiska filozoficznego wymaga obóz ten, zwłaszcza Mill, dla indywidualności praw tak daleko idących, że po ich bezwarunkowym uznaniu chyba w społeczeństwie z samych filozofów złożonem akcja zbiorowa mogłaby postępować bez kolizyi. »Jeżeliby — mówi Mill w swojej rozprawie o wolności²⁾ — cała ludzkość była

¹⁾ Dr H. Rosin: *Minoritätenvertretung und Proportionalwahlen*. Berlin 1892.

²⁾ John Stuart Mill: w zbiorowym wydaniu dzieł w niemieckim przekładzie dr Th. Gomperza. t. I. str. 16.

jednego zdania a jeden tylko człowiek miał opinie odmienną, to ludzkość nie posiadałaby lepszego prawa do skazania jednostki na milczenie, aniżeli jednostka w razie posiadania potrzebnej władzy do postąpienia w ten sam sposób wobec ludzkości«. Wprawdzie zdanie to tyczy się głównie badania prawdy i jej walki z błędem, a wolności osobistej już przedtem Mill tak zakreślił granice, że nie może ona rozstrzygać o działaniu w jakikolwiek sposób wpływającym na dobro innych osób, jednakże granica ta, w teorii dostrzegalna, na gruncie akcji społecznej tak się zaciera wśród mnóstwa krzyżujących się interesów i prądów, iż owo powyżej sformułowane prawo indywidualnej wolności może być na każdym kroku wyzyskiwane w duchu prostego separatyzmu.

Co najmniej jedno pole supremacji większości, opinia publiczna w znaczeniu politycznym, byłaby takim zasadniczym wyniesieniem praw indywidualizmu zagrożona. Czuje to dobrze pisarz (Holtzendorff), który w monografii, poświęconej opinii publicznej, chciałby jej rolę panującą na widowni politycznej jak najlepiej obwarować, a jednak z powyższem zdaniem Milla liczy się w sposób okazujący skłonność do ustępstw. »Opinia publiczna — mówi Holtzendorff ¹⁾ — musi to uznać, że i jej także zakreślone są granice, że w ludzkim społeczeństwie niema wogóle nieomyślnej powagi, a niebezpieczeństwo, z błędu wypływające, wzrasta, jeżeli on jest przez wielu podzielany. Zasada większości, posiadająca względne uzasadnienie na gruncie akcji państwowych, nie może być nigdy tak podnoszona, aby w stadium tworzenia się opinii inaczej myślącym miało być nakładane milczenie.

¹⁾ Franz v. Holtzendorff: *Wesen und Werth der öffentlichen Meinung*, II, Aufl. München 1880, str. 67.

Prawo opinii publicznej nie może z tego powodu nigdy sięgać tak daleko, aby przeszkadzało przedstawianiu opinii indywidualnych. Gdzie ucisk terrorystyczny opinii mas tak się wzmacnia, że mężowie wybitnych zdolności widzą niemożność zyskania głosu, i dlatego usuwają się od spraw publicznych, niebezpieczeństwo dla rozwoju społecznego jest niemal tak znaczne, jak to, które pochodzi z braku publicznego zmysłu... Może ono wystąpić na jaw w społeczeństwie arystokratycznie zorganizowanym przy pewnej sposobności, przedewszystkiem jednak uczuwać się daje w nowoczesnej demokracji«.

Niebezpieczne dla supremacji większości są ataki obozu, występującego pod hasłem intelligencji. Przeciwnicy z tego obozu nazywają despotyzm większości niedorzecznością, gdyż ludzie wyższej intelligencji zawsze stanowili i stanowią mniejszość, więc zamiast odgrywać rolę kierującą, gubią się w większości. Niedorzecznością byłoby już to samo, jeżeliby równym liczbom ludzi intelligentnych i nieintelligentnych przyznawano równe znaczenie; więc cóż dopiero mówić o supremacji drugich wobec pierwszych z mocy przewagi cyfrowej? Spencer, którego krytycy supremacji większości uważają za swój filar, walczy z nią nie tylko ze stanowiska politycznego, jako przeciwnik parlamentarnego i państwowego wszechwładztwa, lecz także pod hasłem inteligencji i to czasem tak ostrą bronią, jakiej tylko takiemu dygnitarzowi naukowemu bezkarnie dożyć wolno ¹⁾).

Ze stosunek cyfrowy zawsze wypaść musi na niekorzyść inteligencji, na to przeciwnikom supremacji większości dostarczył Maks Nordau dowodu, czy

¹⁾ H. Spencer (w francuskim przekładzie E. Castelot'a): *Justice*, str. 265 (*le droit sacré de la majorité généralement stupide et ignorante*).

illustracyi tak popularnej, że dziś wszyscy się nią posługują. »Zgromadźmy — mówi Nordau ¹⁾ — trzydziestu takich genialnych ludzi, jak Goethe, Kant, Helmholtz, Shakespeare, Newton i t. d. i poddajmy ich ocenieniu a potem decyzji w głosowaniu kwestye publiczne bieżącej chwili. Ich przemówienia opiewać będą może nie tak, jak mowy w jakimkolwiek innym zebraniu (choćby nawet i za to ręczyć nie można), ale decyzye nie będą pewnie odmienne od uchwał jakiegokolwiek innego zgromadzenia. Dlaczego tak jest rzeczywiście? Każdy z dwudziestu lub trzydziestu zebranych posiada, oprócz własnej oryginalności, która nadaje mu charakter znakomitego człowieka, także zapas przymiotów pospolitych, odziedziczonych, które czynią go podobnym nie tylko do każdego sąsiada w zgromadzeniu, lecz także do wszystkich indywiduów nieznanych, snujących się po ulicy. Można powiedzieć, że wszyscy ludzie posiadają w stanie normalnym pewne przymioty ogólnego identycznego znaczenia, dajmy na to przymioty wartości x . Znaczenie podnosi się w indywiduach wyższych inną wartością odrębną miary dla każdego, którą też w każdym takim człowieku inaczej oznaczyć należy, n. p. b , c , d i t. d. Ztąd wynika, że w zgromadzeniu, złożonym z dwudziestu osób, samych geniuszy najwyższej miary, x powtarza się dwadzieścia razy a owe b , c , d i t. d. tylko sporadycznie, wskutek czego $20x$ pobije rozproszone b , c , d i t. d., czyli człowiek zwyczajny zwycięży męża z wybitnym charakterem indywidualnym, robotnik pobije lekarza lub filozofa i t. p.«

Nie jest to właściwie pomysł Nordaua, który nadał tylko popularną formę myśli, przez Goethego wypowiedzianej. Goethe czuł to sam dobrze, że geniusz

¹⁾ Maks Nordau: *Paradoxe*, IV Aufl. Leipzig, 1886, str. 28 i n.

ze swoim polotem, współczesne pojęcia i prądy prześcigającym, nie może zupełnie ugrzęznąć w pospolitem otoczeniu, z którym łączą go tylko węzły motywów i celów codziennej poziomej miary, więc właśnie to wszystko, w czym jest człowiekiem pospolitym a nie geniuszem, po nad wszystkie głowy wyrastającym. Zresztą Nordaua nie mogą przeciwnicy supremacji większości zaliczyć bezwarunkowo do swojego obozu, gdyż, co mu się w wybitnej paradoksalności nieraz zdarza, bronił on także odmiennych mniemań. W jednej z paradoksalnych rozprawek swoich n. p. słaui pisarz ten filistrów, jako spadkobierców duchowych ludzi genialnych a częstokroć w swoim czasie zapoznanych, jako popularyzatorów wielkich idei, niegdyś nieśmiało wypowiedanych lub nawet tłumionych a dopiero w świecie filisterskim społeczeństwu zupełnie przyswojonych.

Opozycję indywidualizmu przeciw supremacji większości można łatwiej odeprzeć ze stanowiska społecznego i politycznego względami na potrzebę karności, solidarności i t. d., aniżeli protest, podnoszony imieniem intelligencji przeciw brutalności przewagi liczebnej. Ale ostatecznie i ten protest musi być odparty, a przynajmniej zneutralizowany, jeżeli cała powaga zasady, stanowiącej dziś faktycznie zasadniczą normę życia społeczno-politycznego, nie ma być zamknięta.

Żeby z tej sytuacji wyjść obronną ręką, trzeba koniecznie zasłonić się fikcją, że większość, chociażby była niższą od mniejszości pod względem inteligencji, posiada tytuł do supremacji nie w samej tylko liczbie, lecz w przewadze idei, przez nią reprezentowanej. Pod osłoną tej fikcji, której najlepsze sformułowanie zasada większości Tarde'owi zawdzięcza, można przemknąć się nawet przez odległe okresy

cywilizacji, gdy wszelkie pozory zdawały się przemawiać za tem, że wyższe jednostki tylko terroryzmem lub kuglarstwem zdobyć sobie mogły panującą rolę. Wypowiedziawszy hipotezę swoją w formie stanowczego twierdzenia, że panowanie wyższych jednostek opierało się zawsze na wywołanem przez ich wyższość oczarowaniu (*prestige*). Tarde ¹⁾ tak mówi dalej: »Jedynie przykład magnetyzera pozwala nam poznać głębokie znaczenie tego wyrazu. Magnetyzer nie potrzebuje kłamać, aby zmagnetyzowany ślepo mu zaufał, nie potrzebuje go terroryzować, aby znalazł niewolnicze posłuszeństwo. Wywiera on czar, a fakt ten już wszystko tłumaczy. Mojem zdaniem w zmagnetyzowanym istnieje pewna ukryta siła potencyjna wiary i pragnień, siła unieruchomiona we wspomnieniach różnego rodzaju, uśpionych ale nie zmarłych. Siła ta dąży do przejścia w świat czynny, jak woda do ujścia ze zbiornika zamkniętego, a tylko magnetyzer wskutek szczególnych okoliczności może otworzyć takie wyjście niezbędne. Prawie tak samo działa urok wyższości. Iluż to ludzi, począwszy od Ramzesa aż do Aleksandra, od Aleksandra do Mahometa, od Mahometa do Napoleona, nie wpłynęło w ten sposób na ducha swojego narodu! Ileż to razy dłuższe ustalenie się na widnokregu takiego punktu promiennego, sławy lub geniuszu jednego człowieka, nie wprowadziło całego narodu w stan katalepsyi!«

Włoski pisarz, Sighele ²⁾, jest zachwycony tym pomysłem Tarde'a, uważa całą wątpliwość za uchyloną w ten sposób i dodaje z tryumfem, że jeżeli się

¹⁾ G. Tarde: *Qu'est ce qu'une société* (w *Revue philosophique* z listopada 1884).

²⁾ Scipio Sighele (w francuzkim przekładzie Pawła Vigny): *Le despotisme de la majorite et la psychologie collective* (dodatek do dzieła: *La foule criminelle*, Paris, 1892, str. 168 i inne).

o jakiegokolwiek kwestyi mówi, iż większość jest takiej a takiej opinii, to charakteryzuje się temi słowy zjawisko, które zgodnie z prawdą tak powinno być określone. Opinia *x* zapanowała przez suggestyę nad większością, lub opinia jednego człowieka zdeterminowanego, dajmy na to mówcy lub dziennikarza, miała w sobie tyle siły, że opanowała większość silniej i prędzej, aniżeli inne opinie. Wrzekomy despotyzm większości uważa tedy Sighele za złudzenie. Świat nie jest kierowany przez większość miernych indywidualów, lecz przeciwnie ludzie wyższej miary i większej intelligencji, więc właściwie mniejszość z takich ludzi złożona, porywa za sobą ogół i narzuca mu swoją wolę. Nawet oparty na faktach historycznych zarzut, że zwykle ludzie z wielkim talentem, nawet genialni, bywają w życiu zapoznawani, a w najlepszym razie są osamotnieni i nie mogą wywierać suggestyi w powyższem znaczeniu, nie zastrasza wcale Sighelego, gdyż na zawołanie przychodzi w pomoc dalsza fikcyja. Trzeba, jego zdaniem, wznieść się na wyższy punkt poglądowy i odróżniać suggestyę bezpośrednią od pośredniej a wtedy prawidło powyższe znowu zostanie stwierdzone. Pierwsza suggestyja działa z szybkością pioruna, druga powoli i stopniowo, ale i ta druga będzie ostatecznie tylko refleksem wyższej jednostki, jej idei. Że to pośrednie działanie odbywa się nieraz tak powoli, iż tymczasem długo inne prądy przeważają, to Sighelego wcale nie zbija z tropu. W ten sposób bowiem, zdaniem jego, tylko udaremnione zostało przedwczesne dokonanie reform, które wprowadzone w życie przed utworzeniem drogi, przed przygotowaniem umysłów, mogłoby być wywrzeć wpływ szkodliwy. Jeżeli natomiast pozostawi się takim reformom, takim ideom wyższym, dość czasu, aby dokonały suggestyi w społeczeństwie, to wtedy

można już być pewnym, że wejdą w życie w porę i na pożytek społeczeństwa. W ostatecznym wyniku tedy psychologia zbiorowa, której stanowisko Sighele zajął, uważa »despotyzm większości za despotyzm idei genialnych, których wcielenie jest już przygotowane i wskazane«.

Jak każda fikcja, tak i powyższa, ma tę słabą stronę, że wyzyskać się daje w rozmaitym kierunku, że zatem i tutaj mogłaby oddać usługi wprost przeciwnym twierdzeniom, mianowicie zdaniu, iż supremacya większości wynosi ostatecznie przeważającą zawsze w liczbie mierność po nad prawdziwą wyższość intelektualną. Skoro bowiem owa pośrednio działająca suggestya rozwija swój wpływ tak powoli, że ogarnia całe społeczeństwo nieraz dopiero wtedy, gdy po inicjatorze zaledwie pamięć pozostała, to wypływałaby ztąd właśnie prawdziwość ostatniego zdania bodaj w okresie poprzedzającym ostateczne zapanowanie suggestyi. Jej inicjator bowiem, w którego umyśle zrodziła się owa wyższa, później panująca idea, musiał przecież za życia pozostawać w swoim najbliższem otoczeniu w mniejszości i patrzeć na przewagę, jeżeli już nie na urąganie, niepojmującej go zupełnie miernej większości. Dopiero gdy większość ta podniosła się intelektualnie, lub gdy — mówiąc językiem fikcyjnym — suggestya do niej dotarła, zmienił się stosunek na rzecz długo ignorowanej wyższości, na rzecz inicjatora suggestyi, czy autora wyższej idei, po którym tymczasem już i ślad zaginął. Wobec faktu, że w rozwoju cywilizacyjnym niema zastoju, nie byłoby także i pewności, czy zwycięska w końcu suggestya a raczej panująca idea, reprezentuje w samej chwili swojego tryumfu jeszcze dalej prawdziwa wyższość. W łonie społeczeństwa bowiem zabłysnąć mogło wtedy już jakie świeże światelko suggestywne

nowej idei, która wobec idei, panującej w danej chwili jedynie z mocy faktycznej supremacji większości, przedstawia prawdziwą wyższość, ale tylko — w mniejszości. W takim świetle całe znaczenie owej fikcji o rzeczywistym panowaniu idei wyższych polegałoby tylko na złagodzeniu a raczej na zamaskowaniu zarzutu, że w danej chwili nie większość, lecz mniejszość reprezentuje wyższość intelektualną. Wystarczy i to zupełnie, jeżeli — *mundus vult decipi*.

Czy warto wznosić się tak wysoko w obłoki fikcyjne, jeżeli rezultat jest tak niepokąźny, nawet wątpliw? Nadto trzeba zważyć, że i ten rezultat ma znaczenie tylko na rozleglejszej widowni historycznej i w sprawach wielkiej wagi. Natomiast słabnie zupełnie illuzya, jeżeli pozostaniemy na skromnej widowni bieżącej chwili i w skromnym zakresie bieżącego życia publicznego. Znadto naciągniętą byłaby tutaj taka rehabilitacya większości pod hasłem wielkich idei i ich potęgi suggestywnej.

Jeżeli się z obłoków fikcji zejdzie na grunt rzeczywistości, to trzeba sobie najpierw to powiedzieć, że supremacya większości w społeczeństwie z samorządnym ustrojem życia publicznego, stanowi wprawdzie zasadę podstawową, bez której ustrój taki pomyśleć się nie da, że jednak zasada ta, jak każde urządzenie ludzkie, skończoną doskonałością nie jest, a jako formuła po kuglarsku lub w złej wierze wzykiwana, tak samo stać się może »piekielną«, jak nawet o tyle wyższa jeszcze od niej formuła dobra publicznego, jak owo od niepamiętnych czasów powtarzane hasło: *salus reipublicae suprema lex*.

Wyłączone ze stanowiska intelligencyi nie można oceniać zasady większości, bo w takim razie jej panowanie nie miałoby racyi bytu. Większość w cyfrowem znaczeniu nie jest i być nie może synonimem

wyższości intelligencji już dlatego, że ów cudowny aparat myśli, mózg ludzki, w jednej głowie genialnej zawsze nieskończenie przewyższać będzie pod względem bystrości i twórczości całą masę takich aparatów pospolitej miary, chociażby one wyteńczyły siły swoje do ostatecznej granicy. Cóż dopiero mówić w takim razie, jeżeli się weźmie w rachubę nie sam indywidualizm fizyologiczno-mózgowy, lecz duchowy z nieskończoną skalą jego siły i polotu, siły, wobec której ani liczba głów mózgiem wypełnionych, ani waga całej ich masy mózgowej nie może mieć żadnego znaczenia.

Już w pobieżnym poglądzie na stosunki dzisiejszego życia publicznego na całym kontynencie zasada większości nie wychodzi zwycięsko w konkurencji z intelligencją. Weźmy n. p. to zjawisko charakterystyczne, że we wszystkich stolicach europejskich, więc w głównych ogniskach intelligencji, większość zwyciężająca przy wyborach nietylko nie idzie za kryteriami wyższości intelektualnej, lecz prawie zawsze wysuwa na pierwszy plan osobistość, najkrzykliwszą wprawdzie ale tak mierne pod względem intelektualnym, iż powinienby się ich wstydzic niejeden mniejszy, ale poważniej myślący prowincjonalny okręg wyborczy. Weźmy dalej najświetniejszą widownię panowania zasady większości, weźmy parlamenty tegoczesne. Jeżeliby one reprezentowały, jakby się to wydawać mogło, ekstrakt intelligencji społeczeństwa, to ich reputacja nie mogłaby była już za życia jednego pokolenia upaść tak nisko, jak to dziś wszędzie widzimy. Miarą tego upadku jest ustawodawstwo, szczyt działalności parlamentów, praca, której ani same dobre chęci, ani nawet takie chęci połączone z bogatym zasobem doświadczenia, podołać nie mogą, jeżeli nie przyjdzie im w pomoc zorganizowane współdzia-

łanie prawdziwej a szerszej intelligencji. A jakże wygląda to dzisiejsze ustawodawstwo parlamentarne? Zamiast odpowiedzi, postawmy odrazu dalsze pytanie: czy mogłoby ono być jeszcze gorsze, aniżeli jest dzisiaj? Jeżeli z parlamentu wyjdzie jaka dobra ustawa, to z góry można odgadnąć, że przy uchwalaniu większość była bardzo potulna, że approbowała z wszelką wstrzeźliwością w wyzyskiwaniu swoich praw poprawkowych to, co ułożyło szczuplejsze grono osób, komisya lub podkomisya a właściwie ta jednostka, na której barki w kolejnem przerzucaniu pracy złożono ją w całości.

Intelligencya może tedy w dzisiejszej organizacyi społecznej pocieszać się chyba tem, że nie posiada wprawdzie na razie przewagi liczebnej, ale za to, według zaręczenia Tarde'a, ma po swojej stronie przynajmniej wyższość fikcyjną i nadzieję, iż wyższość ta w odległej przyszłości odniesie niewątpliwie także i cyfrowe zwycięstwo. Byłaby to pociecha na gorzki żart zakrawająca, gdyby intelligencya w roli mniejszości nie miała oprócz tej nieuchwytnej nadziei żadnej innej rękojmi znaczenia i wpływu, gdyby nie miała po swojej stronie praw mniejszości. Czy prawa te dają dobrą rękojmię? Powinny one wystarczyć tam, gdzie supremacya większości pojmowana jest ze stanowiska jednolitości głównych, żywotnych interesów i dążeń społecznych, która w normalnym zdrowym ustroju stosunków nie znosi takiego rozdziału między większością a mniejszością, jak gdyby pierwsza była stroną zwycięską, a druga zwyciężoną, jak gdyby zatem pierwsza miała prawo rozkazywania, a druga tylko obowiązek słuchania. Ze stanowiska zdrowej organizacyi społecznej, większość uważana być może tylko za pełnomocnika, któremu w danej chwili poruczone zostało kierownictwo akcji publicznej, skierowanej ku

dobru całości. W takiej akcji mniejszość nietylko nie powinna być odsuwana od wszelkiej łączności, jakby jakie obce ciało, zawadzające rozwojowi lub funkcyom organizmu społecznego, lecz owszem, jest uprawniona do działania, oczywiście nie na przekór większości, ale i bez wszelkiej nieufności z jej strony, nie jako z łaski tylko do głosu dopuszczona, lecz jako zobowiązana do tego ogólnemi społecznemi zadaniami, w których już jutro może z woli ogółu objąć jej wypadnie rolę kierowniczą. Gdzie panuje takie pojmowanie praw i obowiązków, tam, jak n. p. w Anglii, aż do niedawna, aż do wyjątkowego zaostrzenia się antagonizmów politycznych i społecznych z powodu sprawy irlandzkiej, przejście większości z rąk jednego stronnictwa w ręce drugiego odbywało się nie w formie wewnętrznego przewrotu, lecz jakby prawidłowa zmiana pozycji. W takim ustroju stosunków współdziałanie mniejszości stanowi nietylko rękojmię pożytecznej kontroli wobec większości, rozstrzygającej i dysponującej we wszystkim, lecz nadto środek zaradczy przeciw niezdrowej stagnacyi, więc niezbędny warunek tej świeżej i zdrowej ruchliwości życia publicznego, na którego powierzchni dążności i wpływy mogą pozostawać w takiej grze rytmicznej, jak fale na powierzchni morza w stanie normalnym.

Nikt tak podniosłe a zarazem trafnie na zawsze nie określił hasła dla zdrowej akcji społecznej wśród krzyżujących się prądów i dążności, jak św. Augustyn w znanem zdaniu: *in necessariis unitas, in dubiis libertas, in omnibus autem charitas*. Przenieśmy tę zasadę na grunt rzeczywistych stosunków, a będziemy mieli rozwiązanie powyższych wątpliwości i pewną rękojmię zdrowego życia społecznego, w którym szczerą troską o najwyższe dobra społeczne łączą większość i mniejszość w jedno ciało, różnice

w swobodnie wyrażonych zdaniach co do wyboru środków nie rozbijają całości, lecz wyrównywują się w rozważnej decyzji większości, a wszelki ślad takiej przebytej różnicy zdań gubi się zaraz we wzajemnem zaufaniu i tej ściślej łączności, jaką wspólna troska o dobro społeczeństwa wytwarzać i zawsze ożywiać powinna. W takim ustroju stosunków własny rozumnie pojmowany interes większości strzeże mniejszość przed brutalnym naciskiem i uciskiem liczebnej przewagi i otwiera jej szerokie pole działania, a tem samem zapewnia pracy społecznej chętny udział całej inteligencji.

Trzeba się przygotować na zarzut słuszny, że jest to marzenie idealne tak samo, jak owa fikcyja o wiecznym prawie sugestyi społecznej, która prędzej lub później, ale wrzekomo zawsze niezmiennie, przechylać ma szalę większości na rzecz wyższych ludzi i ich wyższych idei. Idealnem jest niezawodnie takie określenie harmonii społecznej w podziale na większość i mniejszość, jak powyższe, ale nieuchwytnem nie jest, jak owa fikcyja. Mniej lub więcej bowiem można się zbliżyć do tego ideału, jak się zbliżyć można do każdej doskonałości, chociaż w całości nigdy jej osiągnąć niepodobna. Jeżeli się zawsze pamięta o tym ideale, to przynajmniej można na pewne zapobiedz takiej deprawacyi, która zasadę większości nie tylko poniża, lecz, co najgorsza, zmienia w synonim tyranii w zakresie pracy społecznej, więc wprost w czynnik rozstroju społecznego. Taką deprawacyą zagraża zasadzie większości przede wszystkim owa brutalność indywidualna, która raz pod grubą maską genialności, jak n. p. u Bismarcka, a w innych wypadkach nawet pod przejrzystą osłoną szczęśliwego sprytu lub śmiałego kuglarstwa, nadużywa zasady większości, jako narzędzia dla zdobycia sobie pewnego

rodzaju jedynowładztwa w szerszym lub ściślejszym zakresie społecznym. Gdzie taki geniusz lub kuglarz znajduje materiał, tak bezwarunkowo czy bezmyślnie uległy, że odgrywać może rolę fikcyjnego hipnotyzera społecznego, tam — *il n'y a qu'un pas du sublime* nietylko *au ridicule*, lecz co gorsza, do sytuacji, w której zasada większości przybiera postać karykatury a jej supremacja pod nadużywanem hasłem karności obywatelskiej, po kuglarsku, czy po hipnotyzersku pojmowanej, staje się, jak czasem nawet dobro publiczne, wprost »formułą piekielną«.

Czego w takim razie pod firmą większości dokonać nie można! Ci, którzy w obłędzie, ale przytem w dobrej wierze, szeregują się pod pięknie brzmiącemi hasłami, jak dobro publiczne, karność i solidarność obywatelska, stają się tylko materiałem operacyjnym dla tych, którzy świadomie wyzyskują sytuację, uważając wszystkie te hasła za wygodny i bezpieczny namiot dla kultu wyrafinowanego egoizmu politycznego. Gdyby te ogólne uwagi wypadło rozwinąć w szczegółach nawet bez kolorytu satyrycznego, tylko dla dokładnej i poważnej ilustracji, powstałoby zadanie trudne, bo jeżeli kiedy, to w tym wypadku, byłoby — *difficile satiram non scribere*. Sama uwaga, że taka deprawacja grozi zasadzie większości zawsze, a więc i dziś, gdy jeszcze jej kredyt wydaje się niezachwianym, nie wymaga zresztą bliższych wskazówek objaśniających. Wystarczy dla intelligentnego obserwatora bieżącej chwili samo zwrócenie uwagi na to wszystko, co tak często powtarza się nawet w najgłówniejszych i najpoważniejszych przybytkach kultu supremacji większości, w parlamentach dzisiejszych.

Niebezpieczeństwa, jakie ztąd wyniknąć może w dwóch kierunkach, niepodobna zapoznawać. Najpierw taka deprawacja zasady większości, połączona

z brakiem godziwej tolerancji dla mniejszości, zniechęca a w dalszem następstwie popycha w separatyzm liczne jednostki, i to właśnie te, z których większą miarą inteligencji i wyższymi poglądami na warunki zdrowej organizacji społecznej wprost pogodzić się nie daje poniżające uleganie takiej podniosłemi hasłami tylko zamaskowanej brutalności lub kuglarstwu. Z drugiej znowu strony niebezpieczeństwo dezorganizacji, wynikające z wysunięcia samej liczebnej przewagi na pierwszy plan, groźnem jest szczególnie w chwili obecnej, gdy życie społeczne wszędzie szybko się przeobraża, obejmując coraz szersze koła ludności a z niemi coraz więcej takich żywiołów, które na widownię wprawdzie dopiero występują, ale już nie kryją się ani z daleko sięgającemi aspiracyami, ani z gorączkową niecierpliwością, a posiadają przytem świadomość swojej siły liczebnej. Jeżeli bowiem żywioły przewrotu widzą, jak często sama brutalna przewaga większej liczby głosów, pozyskanych jakimikolwiek, chociażby nawet kuglarskimi środkami i sztuczkami, odgrywa w najważniejszych sprawach publicznych rolę *ultima rationis*, uprawniającej do wszelkiej dowolności w działaniu, to w gorączkowo nastrojonych umysłach rozwijać się musi niepohamowana żądza wydobycia się na wierzch bez trudu i długich zachodów, z mocy samej przewagi liczebnej, uzyskanej za jakąbądź cenę, chociażby agitacją rewolucyjną lub nawet terroryzmem. »Obserwator, najmniej bystro patrzący — mówi Sighele ¹⁾ — nie może tego zaprzeczyć, że w naszych czasach zapanowało drganie rewolty w masach ludu. Współczesne klasy robotnicze, tu i owdzie już i proletaryat wieśniaczy czuje, że powstała nowa warstwa społeczna, a skoro dzisiejsze

¹⁾ Scipio Sighele (w przekładzie francuskim): *La foule criminelle* — Essai de psychologie collective. Paris 1892, str. 86.

swobody polityczne przyznały liczbie władzę absolutną, wprowadzając prawo większości z bożej łaski w miejsce władzy królewskiej (Spencer), warstwa ta, uważając się za najliczniejszą, żąda na podstawie logiki, której nauczyły ją inne klasy, daleko więcej praw i przywilejów, aniżeli dotąd posiada».

Nasze stare przysłowie mówi: lepiej rozumem, niż tłumem. Przysłowie to służyć może za dewizę roztropnej i umiarkowanej większości. Natomiast brutalne pojmovanie i wyzyskiwanie samej przewagi liczebnej stawia siłę tłumów po nad refleksję rozumu. Jest to szczególnie wielce charakterystyczny, że amerykańscy obrońcy dzisiejszej typowej formy udzielnego niejako władztwa tłumy, t. j. niegodziwego, a już co najmniej dzikiego prawa *Lynchu*, opierają się na supremacyi większości. Jeżeli padnie hasło, że sądowy wyrok nie odpowiada poczuciu prawnemu większości obywateli, a około tego hasła ugrupuje się tłum, to ofiara jego, prawie pod okiem władzy wyrwana z rąk organów sprawiedliwości, zostaje na oczekaniu z mocy wyroku większości zmasakrowana i to zwykle bezkarnie ¹⁾.

II.

Tłum zbrodniczy.

Badanie motywów i prawideł działania ludzkiego w zbiorowym ustroju na tle psychologicznem weszło dziś niejako w modę naukową, z pretensją do odrębnego stanowiska w dziedzinie umiejętności z charakterem łącznika czy pomostu pomiędzy psychologią

¹⁾ Arthur Desjardins: *Le droit des gens et la loi de Lynch aux Etats-Unis* w *Revue des deux mondes* z r. 1891, t. 105, str. 321 in.

indywidualna, dla której jednostka jest zamknięciem w jedną całość polem obserwacyjnym a socyologią, obejmującą cały wielki i skomplikowany organizm społeczny. Tak pojmuje zadanie tej psychologii zbiorowej Scipio Sighele, którego monografia o tłumie zbrodniczym zdobyła sobie taki rozgłos, jak gdyby miała być fundamentem a przynajmniej wstępem dla tej nowej gałęzi umiejętności. Ta psychologia zbiorowa zajmuje się dziś tłumem w ten sposób, jak botanik lub zoolog nowo odkrytymi egzemplarzami świata roślinnego lub zwierzęcego, tak, jak gdyby chodziło tutaj o rzecz nową a przynajmniej o świeżą formację w ustroju społecznym, wytworzoną wpływem nowoczesnych prądów i dążeń. Supremacya większości odgrywa w takim przedstawieniu rzeczy, jeżeli nie rolę kolebki tłumy, jak według powyższej cytaty z dzieła Sighelego, to przynajmniej rolę jednego z uwagi godnych czynników.

Ferri ¹⁾ główny reprezentant tak zwanej socyologii kryminalnej, która sprowadzając występny czyn człowieka z wyżyny wolnej woli na poziom takiego samego zjawiska, jakim jest każde inne zjawisko naturalne, tem samem podkopuje podstawę dzisiejszego prawa karnego, nawet prawa wogóle, jako norm działania na wolnej woli opartego, wyzyskał hipotezy psychologii zbiorowej dla swojej teorii destrukcyjnej tak skrętnie, jak mu to tendencya uczynić kazała. Uznając istotną różnicę między czynami całej grupy a czynami jednostki, przekazuje Ferri psychologii zbiorowej, jako pole obserwacyjne, wszystkie zebrania, nietylko luźne tłumy, lecz także aglomeracye mniej lub więcej przypadkowe, n. p. na targach, giełdach, w warsztatach, w teatrach, na mityngach, w koszarach i t. d.

¹⁾ Henri Ferri (w tłumaczeniu francuskim samego autora): *La Sociologie criminelle*, III ed. Paris 1893, str. 199 i 471.

Praktyczne wyniki badań zbiorowo psychologicznych chciałby Ferri zastosować nawet do bardzo niesympatycznej dla niego instytucji sądów przysięgłych. Zebranie wielu indywiduów nie przedstawia, według Ferrego, sumy ich przymiotów. Jak w chemii z kombinacji dwóch gazów może płyn powstać, tak samo agregat ludzki może być zły, chociaż indywidualne fragmenty są odmienne. Zachodziłaby więc tutaj niejako fermentacja psychologiczna, w której złe dyspozycje indywidualne, jako liczniejsze od dobrych i rozumnych, miałyby przewagę nad drugimi tak samo, jak reguła posiada przewagę nad wyjątkami. Dobrze to jeszcze, że ta degeneracja zbiorowa miałaby według Ferrego, zachodzić częściej na zebraniach chwilowo występujących, jak sądy przysięgłych, mitingi i t. d., aniżeli w kolegiach stale zorganizowanych. Ostatecznie jednak i te zebrania miałyby czasem podlegać klątwie czy fatalności zbiorowo psychologicznej, tak, że czynnik degeneracji trzeba by już chyba uważać za jej symptom znamienny. Przypomina się tutaj pierwszy mistrz i inspirator wszystkich, tak jeszcze głośnych »nowych horyzontów« włoskich w nauce prawa karnego, Lombroso, który w znanych jako specjalności włoskie bandach zbrodniczych (Maffia i Camorra) znalazł intratną kopalnię swoich pomysłów o typie zbrodniczym, jako zjawisku antropologicznem ¹⁾.

W nauce prawa karnego, tak wrażliwej dziś na wszelkie hipotety antropologiczne, psychologiczne i t. d., tłum, zwłaszcza tłum zbrodniczy, jako wrzekomo odrębne, a jeszcze niezbadane należyte, zjawisko społeczne, wchodzi czasem w rachubę naukową nawet u pisarzy, którzy wcale nie są skłonni do rzucenia się z pewnego i silnego gruntu klasycznej teorii kar-

¹⁾ Cesar Lombroso (we francuskim przekładzie): *L'homme criminel*. IV ed., Paris 1887. str. 519 in.

nej w wir, czy w otchłań materialistycznej kryminologii. Joly ¹⁾ n. p., mówiąc o tłumach rozpasanych, jako o jednym z najpotworniejszych akcesoryów wielkiej rewolucyi francuskiej, prawie tak rzecz przedstawia, jak gdyby tłum stanowić miał istotnie odrębny podmiot czynów zbrodniczych. Mówi bowiem o elementarnym niejako wpływie tłumy na jednostkę, która w tłumnym otoczeniu przestaje poniekąd być tem, czem była w zwyczajnem otoczeniu swoim, gubi się w mrowisku ludzkim i machinalnie daje się popychać w przepaść. Joly uległ chwilowo potężnemu wrażeniu, jakie sprawił Taine swojemi mistrzowskiemi a strasznemi obrazami akcji zbrodniczej tłumów rewolucyjnych. Z całkiem innego stanowiska jednak traktuje ten sam pisarz charakter tłumów w dziele, w którym z filozoficzną ścisłością określa istotę zbrodni, przestępstwa w ogóle i podstawę odpowiedzialności. Tutaj tłum zbrodniczy nie występuje już jakby jaki nowy potwór socyologiczny, pochłaniający w sobie jednostkę a z nią także i indywidualne kryteria odpowiedzialności. Mówiąc o zbrodniach popełnianych przez całe grupy (rodzinę, sektę, większość, tłum i t. d.) dodaje Joly ²⁾ wprost, »że przestępstwo zbiorowe byłoby ostatecznie nonsensem, jeżeliby nie można było rozdzielić go na mniejszą lub większą liczbę przestępstw, popełnionych przez osoby odpowiedzialne za swoje czyny«.

Że tak jest, że tłum wogóle, a tłum zbrodniczy w szczególności, nie jest nowem zjawiskiem społecznym, lecz starem jak świat i tylko w formach zmieniającem się tak, jak się w ogóle wszystkie stosunki z biegiem czasu zmieniają, to rzecz jasna tak dla historyka, który z tłumem i jego akcją wywrotową

¹⁾ Henri Joly: *La France criminelle*, Paris, 1889, str. 405 in.

²⁾ Henri Joly: *Le crime*, Etude sociale. Paris, 1888, str. 30.

spotyka się na każdym kroku dziejów, jak i dla prawnika, dla którego zbrodnia zbiorowa jest takim samym stałym zjawiskiem w dziejach ludzkości, jak zbrodnia indywidualna. Były zawsze tłumy dzikie, okrutne, których wystąpienie rozlewem krwi zaznaczało się w dziejach, jak n. p., żeby sięgnąć tylko po najbliższe przykłady historyczne w rewolucjach francuskich; były także i tłumy bohaterskie, które przejęte entuzjazmem dla wielkich idei, rzucały się w śmiałe akcye po nad siły, jak gdyby ofiarami chciały następcom utworować dopiero drogę do niedoścignionego dla nich celu. Wszakże w tem samym społeczeństwie jeden tłum wołał »hosanna« i zgotował Chrystusowi tryumfalny pochód, a zaraz potem drugi tłum ryczał »ukrzyżuj« i zawiódł Go na Golgotę. Bez przesady można powiedzieć, że ktoby chciał napisać szczegółową historję tłumów, t. j. historję tej najczęściej naprzód nawet nieprzewidywanej a tem mniej przygotowywanej i jakby huragan wybuchającej akcji niezorganizowanych, lecz tylko nagle albo zentuzjazmowanych szczytną ideą, albo rozjuszonych i unoszonych dzikimi instynktami mas ludzkich, ten chyba musiałby niemal sparafrazować historję wogóle, a przynajmniej szereg jej najciekawszych rozdziałów.

Jeżeli więc Sighele wprowadza swoje studyum o tłumie zbrodniczym w tak bliski związek z dzisiejszą formą panowania zasady większości, to chyba chciał tem zaznaczyć nową fazę w historii tłumów, fazę zaczynającą się od tych, wiek cały już trwających, ruchów i drgań politycznych i ekonomiczno-społecznych, które szczególnie we Francyi wstrząsają dzisiejszym ustrojem państwowym, nawet zagrażają mu w sposób poważny. Związek materialny między polityczną zasadą panowania większości a tłumem pod względem socyologicznym polega więc chyba na

tem, że jak to najkrócej a zarazem i najtrafniej wyraża staropolskie przysłowie: lepiej rozumem niż tłumem, tłum przedstawia chaotyczną, niejako prymitywną, a panowanie zasady większości zorganizowaną akcją zbiorową, że w życiu społecznym tłum wobec zorganizowanej większości tak wygląda, jak w przyrodzie dziki stan wobec kultury, lub bez ładu i składu rzucone stosy materiału budowlanego wobec kształtnego budynku.

Dla zwolennika atawizmu otwiera się tutaj, jak jeszcze później zobaczymy, bardzo ciekawa perspektywa, kopalnia hipotez i pomysłów o zbiorowym atawizmie, jako *pendant* do psychologii zbiorowej. Tłum, przypadkowo sformowany i niewolniczo, na oślep, postępujący za głosem lub hasłem herszta, mógłby być z takiego samego tytułu uważany za objaw atawizmu społecznego, za odezwanie się pierwotnego dzikiego stanu, jak zbrodnia uznana została przez Lombrozyistów za odgłos pierwotnej dzikiej natury człowieka.

Na tem tle osnute jest studium Sighelego o tłumie zbrodniczym, a także i studium dra H. Fourniala ¹⁾ o tłumach wogóle, przedstawionych przez ostatniego autora już wyraźnie jako odrębne zjawiska społeczne, tworzące się i działające według prawideł, niemal naturalnych, które socjologia miałaby teraz dokładnie zbadać i sformułować. Dr Fournial pisał swoje studium za inspiracją swojego słynnego mistrza, Lacassagne'a, autora pomysłu o szukaniu w instynktach zwierzęcych podstawy dla szematu zbrodni ludzkich ²⁾. Z tego jednego szczegółu możnaby już prawie odgadnąć ducha i dążności całego studium.

¹⁾ Dr Henry Fournial: *Essai sur la psychologie des foules*, Lyon & Paris 1892 r.

²⁾ A. Lacassagne: *De la criminalite chez les animaux* (w *Revue scientifique* z r. 1882).

Dr Fournial, może z większym jeszcze niż Sighele naciskiem, tak sprawę tłumów przedstawia, jak gdyby chodziło o wielkie odkrycie nowej formacji społecznej i tak ją rozbiera, jak chemik przystępujący do umiejętnego rozbioru jakiego ciała złożonego. W jego pojmowaniu rzeczy tłum jest czemś więcej, niż zwykłą gromadą indywiduów, gdyż wytwarza się w nim pewien niewidzialny węzeł, który sprzęga rozproszone żywioły w jedną całość, z formą odrębną i z charakterem odmiennym od tego, jaki posiadają części składowe.

Wychodząc z takiego przyrodniczo - społecznego założenia Dr Fournial ocenia najpierw wpływy materialnych czynników na łatwość i częstość formacji tłumów. Klimat, pora roku, światło, ziemia, różne zjawiska meteorologiczne, muzyka, powietrze, stopień wilgoci, pożywienie i t. d., wszystko to razem połączone czy pomieszane, ma mieć ważne znaczenie dla fizjologii i psychologii tłumów. Uczeń Lacassagne'a mówi nawet o istnieniu »pewnego rodzaju dziedziczności« w tłumach. Chodzi mu właściwie o tradycję, która wytwarza się co do form postępowania w pewnej, często na jaw występującej kategorii tłumów, szczególnie z akcją wybitnie demonstracyjną. Ale śnać takie nazwanie rzeczy byłoby za mało naukowem w oczach pozytywisty, bo tradycja to płytki przesąd, a atawizm, dziedziczność, to dopiero głębokie, umiejętne określenie stanu tradycyjnego.

Nawet dla przykładu nie warto przytaczać wszystkich szczegółów z tej socjologicznej analizy Dra Fourniala, gdyż mimo wszelkiego aplombu naukowego, są one często już nietylko banalne, lecz nawet dziwaczne. Że n. p. w porze zimowej trudniej sformować tłum, aniżeli w czerwcu lub lipcu, że w konsekwencji ludność krajów południowych jest skłonniejszą do tłum-

nych zebrań, aniżeli mieszkańcy krajów północnych, to miałyby uchodzić za głębokie określenie socyologicznego znaczenia klimatu, chociaż każdy nieuczony prostaczek wiejski, zwyczajny analfabeta, wie o tem doskonale, że w porze, kiedy uszy marzną, lepiej siedzieć w domu w pobliżu ciepłego pieca, aniżeli gapić się w tłumie pod gołym niebem. Że próżniactwo wiedzie do złego towarzystwa, więc w danym razie także przyczynia się do tworzenia tłumów, to ma być nowo spostrzeżnym, a przynajmniej ciekawym szczegółem, objaśniającym socyologiczną stronę sprawy. Ze czasem jedną sikawką z silnym promieniem zimnej wody łatwo można rozproszyć tłum gapiów, ta prawda stara jak świat, a przynajmniej jak — policya, zarejestrowana została w rubryce wpływów stopnia wilgoci na ustrój nerwowy i na temperament, więc na czynniki wytwarzające tłumy! Ze alkoholizm przyczynia się do formacji tłumów, to nie wchodzi w rachunek moralnych czynników, lecz należy do rubryki wpływów pożywienia na tworzenie się tłumów i t. d. Ten ostatni szczegół może najlepiej charakteryzuje ducha wywodów Dra Fourniala. Przypominają się słowa Moleschotta: Powiedz mi, co jesz, a powiem ci kto jesteś, lub twierdzenie Lacassagne'a, że gatunek chleba stoi w bezpośrednim związku ze stanem cywilizacyi pewnego społeczeństwa.

W jakim ściśle odmierzonym i oznaczonym stosunku i kierunku wpływają wszystkie powyższe zewnętrzne czynniki na formację i charakter tłumów, tego Dr Fournial nie rozbiera, zadawalając się samem zaznaczeniem faktu, że z tego wszystkiego tworzą się różne kombinacye. Przechodząc następnie do czynników ściśle socyologicznych, więc do właściwego punktu ciężkości całej kwestyi, Dr Fournial na czele stawia zarazek moralny i sugestję, dwa czynniki, mające

tłumaczyć ścisłą łączność psychiczną pomiędzy uczestnikami tłumów. Organem tej łączności jest mózg, maszyna niezmiernie skomplikowana, której funkcyje w jednostce są tylko mniej lub więcej dokładnie odgadywane, której zbiorowe działanie w tłumie, jakby w jakim jednolitym organizmie, stanowić może już tylko przedmiot hipotez. To też takimi hipotezami, na prawidłach naśladownictwa opartymi, jak zaraźliwość moralna, suggestya, urok i t. p. Fournial, nie pierwszy ich twórca, lecz niejako naśladowca Maudsleya i Tarde'a stara się, ale tylko stara, objaśnić jednolitość akcji tłumów, pozostawiając ostatecznie czytelnika w takiej samej niepewności, w jakiej autor, mimo wszelkich pozorów naukowej determinacyi, sam znajduje się od początku do końca swojego studyum.

Najmniej objaśnienia zawiera, poniekąd nawet nie zostaje w związku z psychologią tłumów, obfite anegdotyczne przedstawienie wpływu wielkich ludzi, na co autor wiele miejsca przeznaczył. Chodzi tutaj już raczej o historję a nie o psychologję tłumów. W takich epizodach dziejowych, jakiemi były wystąpienia i działalność Mahometa, Napoleona i t. d., rolę odgrywały już nie tłumy, a przynajmniej nie takie jak owe, dziś na poczekaniu powstające i szalejące, o które tutaj głównie chodzi, lecz całe społeczeństwa, ludzkość cała. Zresztą sam urok geniuszu nie tłumaczy przewrotów tego rodzaju, jeżeli się poprzednio nie zbada wszechstronnie całego ustroju stosunków społecznych, całego stanu społeczeństw i to nie w danej tylko chwili, lecz z dalekim poglądem historycznym. Ktoby punkt ciężkości przenosił w sam tylko urok, w sam hypnotyczny wpływ wielkich ludzi o silnej woli na całe masy, zmieniałby niejako dzieje ludzkości w historję działalności wielkich hypnotyzerów, w grę siły, zagadkowej dotąd nawet dla tych, którzy

największe znaczenie jej przypisują. Fouillée n. p. zaczyna swoje sprawozdanie z całego rezultatu badań naukowych w zakresie hypnotyzmu, oświadczeniem, że »nie myśli przedstawiać psychologii hypnotyzmu, co nawet w obecnym stanie nauki wydaje się niemożliwem«¹⁾. Fouillée powiedział to przed trzema laty, ale od tego czasu rezultat badań naukowych nie tylko nie wyjaśnił wszystkich zagadek hypnotyzmu, lecz owszem pomnożył ich szereg, co więcej, zachwiało w przekonaniu nawet tych, którzy zapowiadali już z tryumfem, że doprowadzą niebawem tą drogą ludzkość do poznania najzawilszych zagadnień psychologicznych.

Gdyby Fournial, tak samo jak Sighele, ograniczył był swoją pretensjonalną psychologię tłumów do samego tylko tłumy zbrodniczego, to nawet mimo takiego przesadnego wynoszenia lub naciągniętego tłumaczenia niektórych szczegółów, miałby być prawo do uznania za to, iż wobec dzisiejszych ruchów i drgań społecznych, przybierających częstokroć charakter zbiorowych zbrodni, podniósł sprawę aktualną w całym tego słowa znaczeniu, tak pod względem analizy naukowej, jak i celu praktycznego. Nie chcemy tem bynajmniej powiedzieć, żeby tłum z tego przy najmniej aktualnego stanowiska uważać należało za całkiem nowe zjawisko społeczne. Jak tłum zbrodniczy wogóle nie jest nowością, chociażby wskutek zmienionych stosunków społecznych zmienił się poniekąd także i jego charakter, tak samo współczesne zbrodnie, przez tłum popełniane, nie stanowią dla prawa karnego właściwie żadnej nowości. Samo pojęcie przestępstwa wogóle nie wzbogaca się z postępem cywilizacji nowemi co do istoty swojej okazami,

¹⁾ Alfred Fouillée: *L physique et le mental* (w *Revue des deux mondes* z r. 1891, t. 105, str. 429).

lecz tylko jak Proteus, przybiera odmienne, do stosunków danej chwili zastosowane, zewnętrzne znamiona i rysy charakterystyczne. Jak istniały zawsze wszystkie te rodzaje przestępstwa, które dopiero stopniowo z postępem cywilizacji i z rozwojem prawa ujmowane były w kłamry paragrafowej definicji, tak samo istniało zawsze także pojęcie przestępstwa, zbiorowemi siłami popełnianego i wspólnej odpowiedzialności wielu sprawców za jeden czyn występny.

Czemże były, jeżeli nie tłumami zbrodniczemi — żeby nie oglądać się daleko za przykładami, lecz czerpać je z własnej historii — owe »kupy swawolne, jak nazywano w Polsce w XVI i XVII wieku bandy hultajów i włóczęgów, którzy snując się po kraju tłumnie, w kompanii ze zbiegami obcych krajów, osobliwie z Wołochami, Tatarami i Serbami, niepokoiли nietylko pogranicze kraju, lecz także zuchwale napadali wewnątrz jego dwory i domy, popełniając rozmaite zbrodnie«¹⁾). Były wtedy i w innych krajach takie »kupy swawolne«, ciężka plaga dla wszystkich społeczeństw, z ówczesną niedostateczną organizacją organów bezpieczeństwa publicznego, z mało jeszcze rozwiniętym pozytywnym prawem karnem i mało wydoskonalonym aparatem sądownictwa karnego. Radzono sobie, jak można było, z temi bandami opryszków, stosowano, jak świadczą mnogie konstytucje i rozporządzenia, zawarte w *Voluminach legum*, rozmaite środki, tak surowe kary, jak i ryczałtowe amnestye, aby tylko pozbyć się plagi. Dziś te »kupy swawolne« niejako awansowały w opinii prawników i socyologów, wskutek odmiennej konstellacji stosunków społecznych, o czem później będzie mowa. Traktowane są bowiem nie jak wyjątkowe wybuchy prze-

¹⁾ W. A. Maciejowski: *Historja prawodawstw słowiańskich*, Warszawa, 1856—1865, t. IV, str. 478, t. V, str. 446, 503.

stępności mas, lecz jakby nowe zjawiska, towarzyszące współczesnej ewolucyi społecznej, jakby nadzwyczajne zagadki, wobec których prawo dzisiejsze miałoby być bezbronne i bezradne.

Obok prawa uznała literatura ten sam awans społeczny »kup swawolnych«, wynosząc je na stanowisko świeżego a wdzięcznego materiału dla intrygi powieściowej (n. p. *Germinal* Zoli) i dramatycznej (n. p. *Die Weber* — Gerharda Hauptmanna), nawet na stanowisko poważnego symptomu charakterystycznego dzisiejszej fazy kultury. Tłumy bowiem miałyby być — według Nordaua — także jedną z wybitnych oznak ogólnej degeneracyi dzisiejszego społeczeństwa ¹⁾.

Bardzo ponętą musiała stać się ta sprawa dla dzisiejszych włoskich i francuskich kryminologów naturalistycznego autoramentu, którzy po wydrwieniu opartych na wolnej woli zasad klasycznej teoryi karnej o poczytalności, odpowiedzialności moralnej, karze i t. d., nazywają człowieka tylko atomem wielkiej materyi, i już dlatego w »kupie« takich atomów »swawolnych« czy zbrodniczych, znaleźć musieli bardzo wdzięczny przedmiot obserwacyi, rozpoczętej już przez Lombrosa na Maffii i Camorze włoskiej. Do tej właśnie szkoły kryminologicznej należą także Francuz Fournial i Włoch Sighele, autorowie obu przytoczonych i dziś już często jako klasyczne świadectwo naukowe powoływanych monografii o psychologii tłumów. Z tego stanowiska obu autorów można naprzód domyślić się, jakie wnioski i rady praktyczne wysnują ze swojej charakterystyki i fizjologii tłumy.

»Człowiek — mówi Fournial — posiada z natury swojej niedający się zaprzeczyć instynkt krwiożerczy (*instinct sanguinaire*). Aby się o tem prze-

¹⁾ Max Nordau: *Entartung*, Berlin, 1892. t. I, str. 26 in.

konać, potrzeba tylko rzucić okiem na działanie człowieka w stanie prymitywnym, dopóki jeszcze cywilizacja nie złagodziła jego obyczajów. Zatem już na pierwszy rzut oka może się wydać uzasadnionem przypuszczenie, że co do faktów omawianych (zbrodni tłumy) zaszło nagle rozbudzenie się tego instynktu«. Byłby to więc atawizm społeczny, o którym już wspomnieliśmy, a który z mglistej sfery zbiorowo-psychologicznych pomysłów przeniesiony został przez klientelę Lombrosa, mianowicie przez Garofala, w formie pewnika, na grunt ściśle prawny. »Złe ziarna — mówi Garofalo ¹⁾ — czyli instynkty anti-społeczne, odpowiadające prymitywnemu stanowi ludzkości, są najgłębiej wkorzenione w organizmie psychicznym właśnie dlatego, że są najstarszej daty w rasie ludzkiej. Posiadają one wyższą siłę od tych czynników, którymi je ewolucya zastąpiła. Dzikie instynkty nie tylko nigdy nie są zupełnie stłumione, lecz wybuchają gwałtownie, skoro tylko otoczenie i okoliczności sprzyjają«.

Idźmy jednak teraz za wywodami Fourniala, o ile one mają charakter praktycznych wskazówek, a właściwie, o ile one miałyby tem być według intencji autora. Opisawszy zaciekłość tłumów rozpasanych i objaśniwszy ją drastycznymi przykładami z ostatnich ruchów rewolucyjnych we Francyi i rozruchów socjalistycznych wogóle, wypowiada autor ten zdanie, że tłum, popełniający takie straszne zbrodnie, zdaje się »nie posiadać już żadnej władzy nad kierunkiem wolnej woli«. Zaraz potem, niemal bezpośrednio po tych słowach, tłumaczy Fournial czytelnikowi, zdziwionemu niezawodnie tą niezgodną z duchem dzieła

¹⁾ R. Garofalo (we francuskim przekładzie): *La Criminologie*, II ed., Paris, 1890, str. 147.

wzmianką o wolnej woli, że nie myśli rozprawiać o tem, czy człowiek posiada wolną wolę, lub jest tylko maszyną doskonale nastrojoną, chociaż »nie chciałby mu odmawiać wszelkiej wolności«. Nic dziwnego, że wobec takiej chwiejności autor nie może dojść do stanowczych wniosków pod względem miary odpowiedzialności tłumu i jego uczestników za przestępstwa dokonane, że, rozbierając czynniki w grę wchodzące, jak naśladownictwo, upojenie się widokiem zbrodni i t. p., raz tak się odzywa, jak gdyby całą odpowiedzialnością chciał obciążyć tylko przewodców tłumu zbrodniczego, a potem znowu, widocznie z obawy przed następstwami zupełnego zwolnienia reszty uczestników z wszelkiej odpowiedzialności, nie chce już za tem przemawiać. Wkońcu przyznaje się autor, że nie może podać pewnego kryterium o stosunku odpowiedzialności. Tej chwiejności dobrze odpowiada końcowa, po poprzednich z takim aplombem naukowym wypowiedzianych uwagach prawie naiwnie brzmiąca, konkluzya, że »najczęściej niebezpieczną jest rzeczą łączyć ludzi w tłum«, gdyż w takim razie »prędzej wybuchają złe instynkty, aniżeli szlachetne uczucia«. Dlaczego jednak tak jest i tak właśnie być musi, tej kwestyi psychicznej nie rozjaśnia zbiorowa psychologia Fourniala. Czytelnik musi na słowo uwierzyć autorowi, który na to liczyć może dlatego, że się tak często słyszy o ekscesach a tak rzadko o jakiej podnioślejszej akcji tłumu. Ale konkluzya taka zgadza się z całym tokiem myśli w tej psychologii zbiorowej, nadającej tłumowi niejako postać antropo- czy zoolomorficzną, charekter »istoty (*un être*), która czuje i działa, ale nie zna refleksyi« i jest przytem bardzo często »bydłciem z ludzką postacią« (*bête humaine*).

Jeden z najznamienitszych dzisiejszych przedstawicieli klasycznej szkoły prawa karnego, uznającej

niezłomnie wolną wolę za podstawę działania ludzkiego, a odpowiedzialność moralną człowieka za fundament represyi karnej, słusznie zaliczył paradoksy do głównych powodów tego zamieszania, jakie w zakresie kryminologii wywołały owe »nowe horyzonty« włoskie, zamacające ustalone pojęcia prawne i społeczne ¹⁾. Właśnie jednym z takich paradoksów jest owa personifikacja tłumów, owo wynoszenie »kupy swawolnej« na stanowisko całkiem nowego i odrębnego zjawiska w objawach życia społecznego. Najbliższem następstwem tego paradoksu musi być zamacanie pojęcia odpowiedzialności karnej za zbrodnie przez tłum popełnione. Fournial otwarcie zrzekł się zamiaru postawienia kryteriyów w tej mierze; autor drugiej monografii o tłumie, Sighele, nierównie bystrzejszy i głębszy od swojego kolegi, z góry zapowiedział ten zamiar, ale, jak się zaraz przekonamy, ostatecznie także pozostawia czytelnika na manowcach bez wyjścia.

Sighele przedewszystkiem zastrzega się, że używa słowa »kary« nie w znaczeniu klasycznego prawa karnego, jako odpłata za złe, lecz jako synonim reakcyi społecznej przeciw zamachowi na dobro społeczeństwa. W tem znaczeniu odpowiedzialność zbiorowa była już dawniej w ten sposób uznawana, że za winę jednostki karano całą rodzinę, a dziś z rozwojem cywilizacyi przekształciła się w ten sposób, że wprawdzie kara, czyli reakcyja społeczna, spada tylko na jednostki, odpowiedzialność jednak zawsze ciąży na otoczeniu społecznem. Im większa odpowiedzialność spada na to otoczenie, tem mniejsza ciąży na jednostce, którą z popełnionego przestępstwa ma się wytłómaczyć i odwrotnie. Jeżeli zatem zbrodnia,

¹⁾ Louis Proal: *Le crime et la peine*, Paris, 1892, str. 264 in.

przez tłum popełniona, ma być poddana reakcyi społecznej, czyli karze, to należy przedewszystkiem rozpatrzyć, jaka część winy spada na otoczenie a jaka na uczestników tłumy. Chodzi więc w takim razie o instynkt zbrodniczy, chodzi o kwestyę, czy ten, kto popełnił przestępstwo wśród tłumy, posiada naturę zbrodniczą, czy przeciwnie wyrwany z otoczenia tłumy egzaltowanego i podrażnionego, przeniesiony w stan normalny, niejako samemu sobie oddany, byłby jeszcze i wtedy niebezpieczny dla społeczeństwa? Sprowadzając kwestyę na to stanowisko zasadnicze, Sighele chciałby ją tak sformułować: Czy jest to rzecz możliwa, aby człowiek prawy dał się porwać i unieść przez tłum, aż do granic zbrodni, jakby w napadzie obłąkania chwilowego, które przemija i nie pozostawia po sobie śladu? Ażeby odpowiedzieć na to pytanie, trzeba poznać nie tylko w teorii, lecz i w każdym danym wypadku, jaką jest siła sugestyi, przez tłum wywartej, jaki jest stopień deprawacyi, której jednostka w tłumie ulega?

Chcąc uznać fascynacyę za siłę tak potężną, tak straszną, żeby pod jej wpływem człowiek prawy mógł naraz zmienić się w mordercę lub rabusia, trzeba by najpierw uwierzyć ślepo w twierdzenie, że możliwą jest, nie tylko w stanie hipnotycznym, lecz i na jawie, suggestya w takiej sile, jaką za pewnik przyjmuje tak zwana szkoła francuska z Nancy, gotowa już dziś do usprawiedliwienia każdej sensacyjnej zbrodni, jak np. niedawno w głośnej sprawie Gouffé, zamordowanego przez Eyraud'a w spółce z Gabrylą Bompard. Jeden z uczniów tej szkoły filozoficznej nieśmiało ujął się nawet za słynnym Troppmanem, ściętym w r. 1867 za wymordowanie całej rodziny z siedmiu osób złożonej.

Już to świadectwo klasyczne, jakie stanowią przytoczone powyżej sceptyczne słowa Fouillégo o sile hipnotycznej, wystarczyłoby, aby w poważnym i sumiennym prawniku obudzić skrupuły i wielką ostrożność w traktowaniu sprawy odpowiedzialności karnej ze stanowiska tak niepewnej jeszcze hipotezy. Prawnik już co najmniej powtórzyć musi zdanie Tarde'a, że »hypnotyzmowi daleko jeszcze do wypowiedzenia ostatniego słowa« ¹⁾. Ale Sighele, krążący w sferze »nowych horyzontów«, nie liczy się z takimi skrupułami i mówi wcale stanowczo, że chociaż suggestya na jawie »jest dotąd nadto mało wystudowana«, nie należy się na to oglądać, gdyż »cały świat wie, że suggestya ta jest tylko pierwszym stopniem suggestyi hipnotycznej. Co zatem mówi się o jednej suggestyi, to stosuje się i do drugiej. Cała różnica na tem tylko polega, że suggestya w uśpieniu jest silniejsza, niż w stanie normalnym«.

Po takim rozgrzeszeniu się ze skrupułów naukowych, Sighele może już bujać swobodnie. Trzeba jednak uznać, że w tem bujaniu jest jeszcze, bądź co bądź, dość skromny, gdyż nie poszedł zupełnie za szkołą z Nancy, wysuwającą coraz dalej granice suggestyi, lecz zatrzymał się u granic przypuszczalnej predyspozycji, bez której wszystkie usiłowania hipnotyzerskie zawodzą. Próby takiej suggestyi, na której dążność wzdrygało się uczucie moralne osoby, poddanej jej wpływom, zawiodły w zbyt wielu wypadkach, żeby utrzymywać można, że hipnotyzer zdoła ze swojej ofiary uczynić automat, całkiem powolny na każde skinienie. Zatrzymawszy się na predyspozycji, Sighele musiał uznać, że »przestępstwo, popełnione

¹⁾ G. Tarde: *L'idée de culpabilité* (w *Revue des deux mondes* z r. 1891, t. 105, str. 849 i in.).

przez indywidualium wśród rozjuszonego tłumu, tkwić musi co do swoich przyczyn w pewnej, chociażby bardzo małej części w ustroju fizyologicznym i psychologicznym sprawcy, który też w konsekwencji zawsze będzie odpowiedzialny».

Cóż jednak znaczy ta odpowiedzialność, jeżeli autor zaraz potem dodaje takie zastrzeżenie: »Czy można ztąd wnosić, że wszyscy popełniający jakie przestępstwo w rozpasanym tłumie, są bez różnicy prawdziwymi przestępcami? Byłby to wielki błąd. Są w tłumie często przestępcy z urodzenia, ale nie można powiedzieć, że są winni wszyscy, którzy popełnili przestępstwo w taki sposób. Powiemy o nich tylko, że są to ludzie słabi. Każdy otrzymuje z natury charakter zdeterminowany, który nadaje pewne znamię, pewną formę jego zachowaniu się i z którego wychodzi impuls, kierujący człowiekiem w działaniu. Im silniejszy jest ten impuls wewnętrzny, tem stateczniejszy i pewniejszy jest charakter, tem więcej kierować on będzie działaniem, aniżeli wpływy zewnętrzne«. Ale takich charakterów statecznych jest zapewne mało, gdyż owo otoczenie społeczne, na które pozytywiści głównie nacisk kładą, wywiera wpływ przemożny i tylko wyjątki pozostawia w zupełnej samodzielności. Tak jest w życiu codziennem, normalnem. Cóż dopiero mówić o wpływie takiego wzburzonego otoczenia, jakim jest tłum zbrodniczy. Porywa on za sobą wszystkie słabe i chwiejne charaktery, wiodąc je wprost w przepaść przestępstwa, rozbudzając owe pierwotne dzikie instynkty, które Sighele, tak samo jak Ferri i Garofalo, uważa za silniejsze od dobrych czynników i za wybuchające łatwo z pod tej powłoki szlachetnej, jaką je rozwój cywilizacyjny osłonił.

Wobec takiej chwiejności materiału, z którego tłum się składa, i wobec potężnego wpływu sugestyi,

w ogólnym motywie występnej akcji tłumy szuka Sighele punktu oparcia dla ocenienia odpowiedzialności za przestępstwo, zbiorowo popełnione, tak w sposób nieprzewidywany z góry, niejako w chwili ogólnej gorączki, jak i z premedytacją. Pomijając drugą kategorię przestępstwa, stawia Sighele tylko co do pierwszej pytanie, jaka powinna być »kara, czyli raczej reakcja społeczna«, i zaraz tak odpowiada: »Szkoła pozytywistyczna nie może dać na to pytanie stanowczej odpowiedzi, a tem mniej wskazać formuły, dającej się zastosować we wszystkich wypadkach«. Mamy tutaj typowe wyznanie wiary pozytywistów włoskich w zakresie prawa karnego. Podkopują oni wszystkie podstawy klasycznego prawa, odmawiając człowiekowi wolnej woli, mieniąc go atomem wielkiej materii, pojęcia odpowiedzialności moralnej, winy i kary — przesądami zastarzałymi, z którymi w imię prawdy zerwać należy, a gdy potem przychodzi kolej na określenie dodatniego programu środków prawnych, którymi społeczeństwo ma być strzeżone przed przestępstwem, ustaje fantazja i pewność tryumfu. Kolizję zbywa się w takiej sytuacji mniej lub więcej stanowczą zapowiedzią, że pozytywizm znajdzie i tutaj z czasem najlepszą drogę wyjścia. Czy znajdzie rzeczywiście, to kwestya wielka. Nie z litości dla klasycznej teorii karnej zwleka pozytywizm dotąd z ułożeniem własnego systemu karnego, na powyższych zasadach opartego, lecz z widocznej niemocy. Zgodne z klasyczną teorią karną podwaliny nowego kodeksu karnego, który parlament włoski uchwalił przed kilku laty za współudziałem koryfeusza pozytywistycznej kryminologii, ale nie w jej duchu, świadczą wymownie o braku takiego pomysłu praktycznego, któryby wywrotowe dążności tej kryminologii ujmował w logiczną kodeksową formę. A może byłby się znalazł

taki pomysł, ale brakło odwagi do wystąpienia z nim na seryo, po za sferą książkowych przechwałek, na arenie parlamentarnej, gdy w myśli stańło pytanie, dokąd zaszłyby Włochy, dokąd zaszłyby cywilizacya i ludzkość, jeżeliby prawo karne wydane zostało na pastwę takim dążnościom?

Sighele kończy swoje wywody ponownem zeznaniem, że nie może podać kryteriów rozgraniczenia odpowiedzialności za zbrodnie przez tłum popełnione. Co mówi o potrzebie rozróżniania zbrodniarzy z urodzenia od zbrodniarzy porwanych tylko przez tłum rozpasany na drogę przestępstwa, ale jeszcze nie wyciętych z dobrych instynktów, to wszystko nie stanowi, ściśle rzecz biorąc, żadnej nowości, to wszystko jest uwzględnione w dzisiejszem prawie karnem, odmierzającem winę i karę na podstawie szczegółów ściśle zbadanych tak co do samej akcji występnej, jak i jej uczestników. Aby przecież coś nowego powiedzieć, przechyła się Sighele na razie na stronę teoryi Pugliesego, adwokata włoskiego, który w pewnej sprawie karnej przeparał ryczałtowe uznanie połowy odpowiedzialności co do wszystkich uczestników zbrodni zbiorowej. Sam jednak ostatecznie nazywa ten pomysł, na oślep powzięty, absurdem, a zdanie to liczyć może na zapewnioną z góry aprobatę zwolenników panującej klasycznej teoryi karnej, która ostrym mieczem sprawiedliwości na oślep nie rąbie dokoła, lecz liczy się przedewszystkiem z ustrojem moralnym człowieka. »Zadowolmy się na razie — kończy Sighele — nadzieją, że dobry zmysł sędziów zastosowywać będzie nasze pomysły do zbrodni przez tłumy popełnionych. Dopiero później wejdą one w kodeksy. Celem i obowiązkiem pisarza jest przygotowywanie pożytecznego materiału dla rządzących«. Zapewne długo jeszcze Sighele i jego następcy będą

musieli pocieszać się tą nadzieją, skoro tak obfitego materiału, już przygotowanego przez kryminologię pozytywistyczną, nie wyzyskał, jak powiedzieliśmy, prawodawca włoski, w chwili tak stosownej, jaką było niedawno uchwalenie nowego kodeksu karnego, lecz bez zmiany dotychczasowych zasad odpowiedzialności karnej w ogóle oparł się na zasadzie: *tanti delitti quanti delinquenti*, a dopiero w granicach tej zasady podzielił odpowiedzialnych na kategorie.

Za życia dzisiejszego pokolenia naukowego we Włoszech taka sposobność do skodyfikowania »nowych horyzontów« już się pewnie nie powtórzy. Może przyszłe pokolenie prawodawców będzie tym materiałem tak uszczęśliwione, jak to Sighele zapowiada? Do tego czasu dzisiejsze zapędy nowatorskie stracą swój obecnie tak silny jeszcze urok nowości, a po ich autorach pozostanie w historii nauki wogóle, w historii prawa w szczególności, taki ślad, jaki pozostał po koryfeuszach naturalizmu z poprzedniego stulecia, Holbachu i La Mettrie, kolekcya paradoksów, które mimo wielkiego talentu autorów nie zdołały wstrzymać postępu ludzkości na szerokim szlaku chrześcijańskiej cywilizacji.

Ciekawsze o wiele od prac Fourniala i Sighelego są studia Tarde'a o fizyologii czy patologii tłumy w ogóle a zbrodniczego w szczególności. Tarde należy do najgłębszych współczesnych prawników-filozofów, nie tylko we Francji, lecz w całym świecie naukowym, a nadto jest sam sędzią śledczym (w Sarlat), więc głos jego w kwestjach kryminologii zaważyć musi na szali z podwójną siłą.

Tarde stoi w szeregu pozytywistów i należy niezawodnie pod wielu względami do otwartych przeciwników klasycznej teorii karnej, szczególnie co do kwestyi winy i odpowiedzialności. Posuwa się on pod

tym względem tak daleko, że w przytoczonej już poprzednio rozprawie o idei odpowiedzialności nie zawahał się postawić wprost tego pytania, czy wobec wyników analizy pozytywistycznej podtrzymywane przez panującą klasyczną teorię karną pojęcie winy ma upaść zupełnie, do czego dążą włoscy kryminologowie, lub czy powinno być poddane rewizji i pogodzone w jakikolwiek sposób z nowymi prądami, w danym razie nawet »siłą mocą zatrzymane, jako dogmat w społecznym znaczeniu niezbędnym, chociaż ze stanowiska naukowego nie dający się utrzymać«. Tarde oświadcza się za ostatnią alternatywą i tłumaczy się, dlaczego jako stanowczy pozytywista uczynić musi takie *sacrifizio del intelletto*. W historii ludzkości wielką rolę odgrywa kłamstwo, jako źródło złudzenia. »Czy jest choć jeden rząd — mówi autor — któryby zdołał się ustalić bez autoryzowanych po kuglarsku historycznych legend o swoim pochodzeniu? Nawet w dzisiejszych czasach kłamią nasze biuletyny wojenne, nasze programy wyborcze, nasze dzienniki, a wszystko to dzieje się w interesie politycznym, więc bądź co bądź drugorzędny. Jakież więc można mieć skrupuły co do kłamstwa w pierwszorzędnym interesie ludzkości, jeżeli to się okazuje niezbędnem t. j. jeżeli bez wiary w wolną wolę, ustalonej wbrew wszelkiej argumentacji, społeczeństwo nie mogłoby istnieć«?

Skoro kwestya postawiona została w ten sposób, że chodzi tylko o wymyślenie takiego »kłamstwa«, aby bez uznania wolnej woli ocalić dla społeczeństwa zasadę odpowiedzialności moralnej pod hasłem *mundus vult decipi, ergo decipiatur*, to nie można dziwić się, że Tarde w pismach swoich, zwłaszcza o ile one tyczą się zbiorowej zbrodni, nie zawsze jest tak konsekwentnym. Jakby tego oczekiwać należało po pisarzu, tak

zresztą głębokim i tak ścisłym. Zaczynamy od dzieła Tarde'a, poświęconego filozofii prawa karnego. Tutaj nie szuka on jeszcze takiego kłamstwa, jakie w powyższej pracy zapowiedział, lecz owszem oświadcza się wprost za złagodzeniem, nawet za wykluczeniem odpowiedzialności co do tłumów ¹⁾. Tylko naśladownictwo normalne a nie chorobliwe, pochodzi w znacznej części z własnej woli. Jeżeli się jest odpowiedzialnym za czyny, spełnione za przykładem drugich, chociaż bez tego przykładu pewnie nie byłyby one dokonane, pochodzi to ztąd, że świadomość towarzyszyła udziałowi w takim naśladownictwie. Natomiast w tłumie wzburzonym naśladownictwo jest absolutnie nieświadome, ślepe, sprzeczne z normalnym charakterem naśladowującego, więc staje się zjawiskiem chwilowego zboczenia (*phénomènes d'aliénation momentance*), które łagodzi odpowiedzialność lub ją nawet uchyla.

Zaledwie ta generalna absolucja tłumy od odpowiedzialności została wypowiedziana, zaraz zaczynają się zastrzeżenia, które mają salwować interesa społeczne. Nie byłoby mowy o ochronie tych interesów, o istnieniu społeczeństwa, jeżeliby złoczyńcy mogli w zbitym tłumie przystępować do spełnienia zbrodni i potem zasłaniać się tem, że ulegli »ślepemu naśladownictwu w stanie anormalnym«, że zatem znajdowali się w stanie niepoczytalności. To też już i tutaj Tarde nie uważa bezwarunkowo uczestników tłumy zbrodniczego za same tylko nieodpowiedzialne ofiary anormalnego naśladownictwa. Kto bowiem przeniósł wpływ swoich złych towarzyszy i głos zbrodniczego instynktu nad wpływ innych uczciwych towarzyszy, ten zdradził w sobie zły instynkt z urodzenia lub deprawacyę nabytą. Ale i ten zwrot znowu łączy

¹⁾ G. Tarde: *La Philosophie penale*, II ed., Paris, 1891, str. 303 in.

się zaraz z zastrzeżeniem na korzyść z natury uczciwych indywidualów, które w tłumie dopiero widokiem zbrodni porwane zostały do uczestnictwa. Zaciera się więc ostatecznie w tych ciągłych zastrzeżeniach granica odpowiedzialności, determinizm góruje i zdaje się szydzić z podjętych prób sztucznego pogodzenia zasad klasycznej teorii karnej z jego nieubłaganymi konsekwencjami, a przede wszystkim z tą najgłówniejszą, że z negacją wolnej woli nie dają się utrzymać fundamentalne zasady prawa wogóle. Na stanowisku sędziego śledczego Tarde z pewnością nie postępuje tak, jakby tego wymagały owe konsekwencje. Zdaje się, że świetny ten autor zawsze przebywać musi ciężką walkę wewnętrzną, gdyż głęboki a sumienny pogląd na następstwa nie pozwala mu postępować w duchu doktryny deterministycznej, nie tylko wśród działalności sądowej, w nieustannej styczności z rzeczywistymi przestępcami, lecz nawet tam, gdzie, jak np. na kongresach fachowych, nie może postawić sprawy na ostrzu determinizmu bez obawy, żeby ztąd nie powstała jaka szkoda dla tak niezbędnej dla społeczeństwa zasady odpowiedzialności moralnej.

W ten sposób tylko wytlómaczyć sobie można jawną różnicę — żeby nie powiedzieć sprzeczność, — jaką zachodzi między poglądami na odpowiedzialność tłumów zbrodniczych, rozwiniętymi w pismach filozoficznych Tarde'a, a opinią tego pisarza, przedstawioną w tej sprawie na brukselskim kongresie dla antropologii kryminalnej z r. 1892. W opinii tej Tarde wychodzi jak Nordau z założenia, że tłum jako całość zawsze spada poniżej tego duchowego poziomu, na jakim stoją jednostki w jego skład wchodzące, gdyż szlachetniejsze instynkta nie dostają się w tłumie do głosu, kierującą rolę obejmują tam uczucia a nie rozum i wskutek tego nie imponuje ani głęboka myśl,

ani wyższa wiedza, lecz tylko silna wola. Pod względem tej niższości duchowej nie czyni Tarde wyjątku nawet dla takich zorganizowanych i doborowych zgromadzeń, jak np. parlamenty. Uznawali to zdaniem jego już Rzymianie w klasycznym zdaniu: *Senatores boni viri, senatus autem mala bestia*.

Kapryśność, powolne uleganie wszelkim impulsom, w połączeniu z brakiem równowagi i z łatwo-wiernością, nerwowość, przerzucanie się z jednej ostateczności w drugą, mianowicie z brutalizmu w nastrój czułości, z zapamiętałości w popłoch, z oburzenia w śmiech pusty i t. d.; — wszystko to nadaje tłumowi odrębny charakter, porównany przez Tarde'a w dawniejszych pismach z charakterem kobiecym, a w opinii brukselskiej z dziecinny. W tej opinii uznaje Tarde, że na formację tłumy zbrodniczego wpływają pewne czynniki zewnętrzne fizycznej natury, jak np. klimat, pory roku i dnia i t. d., ale ostrzega zarazem przed przesadą w ocenianiu doniosłości tych wpływów. Wszystkie bowiem razem wzięte nie doprowadzą jeszcze do formacji tłumy, jeżeli za współudziałem czynników społecznych nie przyłączy się do tego pewien cel, wprowadzający skupione masy w poruszenie. Społeczny charakter uczestników wywiera wpływ na całe postępowanie tłumy. Rolę ważną odgrywają mianowicie różnice, zachodzące między poszczególnymi klasami według zajęć, sposobów zarobkowania i t. p., a przede wszystkim różnica między charakterem ludności miejskiej i wiejskiej. Tłum, z mieszczuchów złożony, jest szczególnie nerwowy, kapryśny, najwięcej zbliżony do charakteru niewieściego, więc daje się najłatwiej i najsilniej podburzyć, ale za to także najłatwiej przerzuca się w przeciwieństwo. Natomiast wśród ludności wiejskiej tłum formuje się

powoli, ale skoro raz wystąpi zaczepnie, zmierza już do celu z dziką stanowczością i wytrwałością.

Kwestyę odpowiedzialności za zbrodnie zbiorowe rozbiiera Tarde w swojej opinii brukselskiej przeważnie ze stanowiska praktycznego. Przemawiał na kongresie wobec poważnego grona prawników zawodowych, sędziów i prokuratorów, a do tego w chwili, gdy nie sami tylko uczeni kryminaliści, lecz świat cały pozostawał pod świeżym wrażeniem szeregu zbrodni zbiorowych, popełnionych w różnych krajach przez tłumy anarchiczne. Wśród takiej sytuacji trzeba było zepchnąć na drugi plan dawne skrupuły i subtelne hipotezy filozoficzne, a wzrok skierować na aktualne niepokojące znamiona położenia, liczyć się przytem ze względami praktycznymi, a przede wszystkim z tym, że skoro już samo wielkie prawdopodobieństwo ukrycia i zgubienia się w tłumie przyczynia się znakomicie do powodzenia zbrodni zbiorowych, to zasadnicze ścieśnianie odpowiedzialności w duchu psychologii zbiorowej à la Sighele stanowiłoby w czasach dzisiejszych wielkie niebezpieczeństwo dla społeczeństwa. To też w tej opinii brukselskiej Tarde jest w końcu nawet surowy, uważa samo zbiegowisko za danie sposobności do popełnienia zbrodni zbiorowych, więc przyłączanie się do takiego zbiegowiska za rodzaj uczestnictwa. Przy odmierzaniu stopnia odpowiedzialności należy hersztów ściśle odróżnić od reszty uczestników, co w teorii trudnem się wydaje, ale w praktyce nie jest połączone z nadzwyczajnemi trudnościami. Herszt przede wszystkim daje impuls do zbrodni zbiorowej, więc na nim zaciężyć powinna odpowiedzialność prawna z całą siłą, z czego jednak wcale nie wypływa, żeby uczestnikom pofolgować wypadało. Każdy uczestnik tłumy zbrodniczego jest owszem odpowiedzialny za swoje czyny indywidualne,

a nadto wskutek udziału w akcji tłumu, także stosunkowo za idące na jego rachunek czyny zbiorowe, i to tem więcej, im ściślejszy węzeł łączył wszystkich w jedną masę. Im większa wina ciąży na całym tłumie, tem mniejsza odpowiedzialność spada na jednostkę za uczestnictwo w czynach występnych ostatniej kategorii, natomiast wzrasta odpowiedzialność hersztów w miarę, jak w tłumie zaostriżył się charakter zbrodni, przez nich inspirowanej. Uczestnicy w żadnym razie nie mogą się zasłaniać tem, że działali pod presją wpływu hersztów na nich wywieranego. Weszli oni bowiem w tłum zbrodniczy dobrowolnie, więc odpowiedzialność ciąży na nich tak samo, jak na każdym, kto się dobrowolnie upił.

Mamy tedy pośrednie odwołanie tego, co prelegent kongresu berlińskiego powiedział przedtem w rozprawie naukowej o odpowiedzialności moralnej, jako o iluzji, a raczej jako o kłamstwie, niezbędnem dla społeczeństwa. Inaczej bowiem przemawia Tarde, jako filozof-pozytywista, a inaczej jako sędzia śledczy, który po za pracownią naukową stykać się musi nieustannie ze zbrodniarzami różnej kategorii. Ta praktyczna obserwacja musiała bardzo dobitnie przemówić do głębokiego umysłu Tarde'a, gdyż po kongresie brukselskim już i w jednej pracy czysto naukowej, na pokrewny temat napisanej¹⁾, widać zwrot znaczący. Odpowiedzialność hersztów, wogóle przewódców, za impuls, dany akcji występnej tłumowi, nie gubi się już w tej nowej pracy ani w wątpliwościach na temat wolnej woli, ani w subtelnym hipotezach o stosunku i sile wzajemnej sugestji w tłumie. Nie posiada on bowiem innej idei, oprócz tej, którą mu z zewnątrz

¹⁾ G. Tarde: *Foules et sectes au point de vue criminel* (w *Revue des deux mondes* z r. 1893, str. 349 i inne).

podano. Ta idea czy wskazówka, mniej lub więcej intelligentna, tycząca się celu lub środka, przenosi się niejako z jednego mózgu do innych, lecz zawsze pozostaje ta sama. Przewódca jest zatem odpowiedzialny za efekt bezpośredni. Tylko emocja, połączona z impulsem, nie pozostaje na tym samym stopniu, lecz nabiera siły w progressyi matematycznej. Co stanowiło pragnienie umiarkowane lub opinię chwiejną u inicjatora propagandy a pierwszego inspiratora, u n. p. podejrzenie, rzucone na pewną kategorię osób, to staje się namiętą konwikcją, nienawiścią i fanatyzmem w masie wzburzonej. Siła emocji, podniesionej do ostateczności w dobrym lub złym kierunku, jest już zatem w większej części własnem dziełem tłumu, wzajemnego roznamiętnienia się uczestników. U tej granicy zatrzymuje się Tarde z obciążeniem przewodców tłumu, których zresztą nie chce oszczędzać nawet wtedy, gdy rola ich ograniczała się tylko do inspiracyi, więcej odgadywanej niż dowiedzionej.

Przewódcy tłumu każe Tarde koniecznie szukać, i nie chce nawet przypuścić, żeby bez niego mógł się sformować i działać tłum zbrodniczy. Czuje to niejako Tarde, chociaż nie wypowiada tego otwarcie, że w wywodach jego, mimo wszelkich ustępstw na rzecz klasycznej teoryi karnej, odpowiedzialność za zbrodnie zbiorowe, więc i możliwość repressyi karnej, tem jednym tylko ogniwem spojona jest silniej z ową teorią. »Jak każdy warsztat — mówi Tarde — ma swojego kierownika, każdy klasztor swojego superiora, każdy pułk swojego pułkownika, każde zgromadzenie swojego przewodniczącego, tak samo każdy salon ożywiony ma swojego koryfeusza w konwersacyi, każdy tłum swojego szefa, każdy dwór swojego króla lub księcia, każda klaka swojego naczelnika«. Repressya karna wobec zbrodni zbiorowych miałaby tedy zawsze

pewny punkt oparcia, gdyż wszędzie są przewodcy i przewodzeni, a wola pierwszych w jakikolwiek bądź sposób panuje nad wolą drugich. Bywają czasem tłumy, na pozór nie posiadające przewodców. Weźmy n. p. wzburzenie, które w czasie głodu lub innej kłeski wywołuje tłumne zebrania i ekscesy. W takim razie pożar szerzy się dokoła tak gwałtownie, że trudno wskazać, gdzie było zarzewie. Ale jak w pożarze jest zawsze punkt, w którym z iskry strzelił najpierw słup płomieni, tak i w ekscesach tłumów wzburzonych musi być punkt, w którym pokazała się iskra, t. j. padło hasło inicjatora ekscesów.

Ostatnią rozprawę swoją o tłumach zamyka Tarde ciekawem porównaniem, które jeszcze więcej zbliża go do zasad panującej klasycznej teorii karnej. Mówi on, że między przestępstwem indywidualnym a zbiorowem zachodzi taki sam stosunek, jak między rzemiosłem a wielkim przemysłem. W przestępstwie indywidualnym zamiar, postanowienie i pomysł wykonania, rozwija się i dojrzewa w jednym i tym samym ustroju psychicznym, tak samo jak w rzemiośle rzemieślnik jest przedsiębiorcą i robotnikiem w jednej osobie. W przestępstwie zbiorowem indywidua dzielą zadanie między sobą, przewodcy i inspiratorowie nie są wykonawcami, tak samo jak w wielkim przemyśle, pryncypałowic nie pełnią funkcji robotników. Zatem indywidualizm i zbiorowość w przestępstwie schodzą się już na wspólnym gruncie działania występnego, winy i odpowiedzialności, a różnią się między sobą tylko w szczegółach, ważnych wprowadzić, ale już nie zasadniczych. Można śmiało insynuować Tarde'owi taki stopniowy, świadomie wykonany odwrót ze stanowiska bezwzględego determinizmu ku zasadzie odpowiedzialności moralnej, pojmowanej nie jako konieczne dla społeczeństwa kłamstwo, lecz jako zasada

żywotna, gdyż pisarz ten w innym głębokim dziele historyczno-prawnej treści, i to właśnie w ostatnich czasach, uznał odpowiedzialność tę nie za kłamstwo, lub, jak inni pozytywiści, za metafizyczny przesąd, lecz wprost za jeden z odwiecznych fundamentów cywilizacyjnego rozwoju społeczeństwa i prawa ¹⁾).

Nie odstępując tedy ani na krok Tarde'a, lecz owszem idąc z nim razem, zbliżyliśmy się do dzisiejszej, niezmiennie panującej, chociaż tak zaciekle atakowanej teorii karnej, opartej na zasadzie wolnej woli i odpowiedzialności moralnej. Wobec tej zasady, na pierwszym planie stoi człowiek, wolną wolą obdarzony, a tłum, czy unoszony namiętnością, rozpasany i dziki, czy z premedytacją i wyrachowaniem działający, nie jest produktem społecznym odrębnym i odmiennym od człowieka, lecz tylko sumą jednostek, do których w miarę możliwości z osobna ściśle stosowane być powinny indywidualne kryteria winy.

Czytelnik, znużony może tem krążeniem do celu ubocznymi drogami, mógłby zapytać, dlaczego podjęliśmy tę wędrówkę? Pominiawszy okoliczność, że z pisarzem tak głębokim jak Tarde takie krążenie nigdy nie odbywa się bez korzyści, mieliśmy na celu stwierdzenie na jednej z aktualnych i żywo dziś omawianych kwestyj tego faktu, że jeden z prawdziwych matadorów naukowych pozytywizmu w zakresie prawa wogóle, a karnego w szczególności, musiał się zachwiać w swoich skrajnych przekonaniach, gdy mu przed oczyma stało dobro społeczeństwa i jego interesy cywilizacyjne. Gdyby nie chodziło o taką znakomitość, lecz o pisarza średniej miary, możnaby go było szyderczo zapytać słowami poety niemieckiego:

¹⁾ G. Tarde: *Les transformations du droit. — Etude sociologique*. Paris 1892, str. 22.

Warum in die Ferne schweifen, sieh' das Gute liegt so nah'.

To zwycięstwo, jakie odniósł Tarde-sędzia nad Tardem-filozofem, jest tem ważniejsze i cenniejsze, ile że główną rolę odegrały w niem nie olśniewające doktryny filozoficzne, lecz trzeźwa obserwacya aktualnej sytuacji społecznej w świetle socyologicznem, obserwacya, nie odwracająca oczu od przepaści, w którą musiałoby się stoczyć społeczeństwo w razie zachwiania zasady odpowiedzialności za czyny występne, popełnione wśród tłumu i razem z tłumem, do czego prostą drogą wiodą doktryny a la Fournial i Sighele. Taka ewentualność równałaby się wprost nihilizmowi prawnemu i moralnemu, byłaby otwartą zachętą dla zbrodniarzy, aby złe instynkty swoje trzymali na wodzy, dopóki nie nadarzy się sposobność do bezkarnego popołgowania ich prądowi w tłumie zbrodniczym.

Można nie zgadzać się z żadnym z tych wniosków, jakie pozytywiści a la Fournial, Sighele i inni ich naśladowcy wysnuli w swojej kryminalno-socyologicznej obserwacyi tłumu wogóle a zbrodniczego w szczególności, można wszystkie te wnioski uważać za zgubne dla społeczeństwa, ale mimo to wszystko, niepodobna zapoznawać tego, że na baczną uwagę zasługuje w każdym razie ogólny rezultat tych tak dziś ożywionych badań i dysput o tłumie, jeżeli rezultat ten wzięty będzie tylko jako wyrazista charakterystyka coraz częściej występujących, a rzeczywiście dotąd nie dość ściśle zbadanych, objawów życia społecznego, zwłaszcza jako charakterystyka, zawierająca przestrogi i wskazówki pożyteczne i praktyczne wyzyskać się dające. Do takiej pouczającej i ostrzegającej charakterystyki tłumów powołani są szczególnie francuzcy socyologowie i prawnicy. Fran-

eya bowiem jest ziemią klasyczną tłumów, tak w politycznej, jak i w zbrodniczej akcji. Na poparcie tego zdania wystarczy może samo przypomnienie faktu, że twórcą dzisiejszej republiki był przecież ów tłum, który 4 września 1870 r., nazajutrz po kapitulacji sedanskiej, zniemacka wtargnął do ciała prawodawczego i w obliczu zwyciężkiego nieprzyjaciela ogłosił destytucję dynastji Napoleońskiej na rzecz republiki, że dalej ów tłum uważał tę akcję swoją tylko za legalną kontynuację tego, co tłumy ze schyłku XVIII stulecia dokonały pod względem politycznym z monarchją i całym społecznym ustrojem Francji. Tak samo pojmowały akcję swoją tłumy z czasów komuny paryskiej.

Uderzającym jest podobieństwo wszystkich tłumów francuskich z czasów wielkiej rewolucji, zwłaszcza w tem rozbestwieniu, które zaślepiało uczestników do tego stopnia, że za każdym razem demoniczny wpływ afektu zagłuszał nietylko szlachetniejsze instynkty, lecz nawet poczucie godności ludzkiej, a wskutek tego nawet ludzie umiarkowani i z natury łagodni popychani byli na drogę zbrodni, przykładali rękę do takich monstrualnych czynów, o jakich przedtem bez odrazy nie mogliby byli pomyśleć, na których wspomnienie sami później po otrzeźwieniu z szału wzdrygali się, nawet popadali w formalne obłądki. Wiele przykładów tego rodzaju możnaby przytoczyć za *Taine'm* i *Maximem du Camp* z nakreślonych przez nich obrazów krwawej akcji tłumów. Weźmy n. p. jeden fakt historyczny z okresu rzezi wrześniowej podczas wielkiej rewolucji. Jeden z delegatów sekcyjnych Paryża, *Gravin*, udał się do krwawego trybunału rewolucyjnego, szczerze przejęty poruczoną sobie szlachetną misją wyjednania łaski a raczej sprawiedliwości dla dwóch więźniów, dwóch ofiar szalonego

terroryzmu. Gdy stanął wśród tłumu, opętanego żądzą ofiar i krwi, upominającego się o świeży materiał dla gilotyny, sam tak się poddał demonicznemu wpływowi, tak się zassymilował w jednej chwili z krwiożerczą tłuszcą, że zamiast myśleć o ocaleniu dwóch więźniów, przyłączył się do rewolucyjnych sędziów i z nimi wytrwał w ferowaniu wyroków śmierci, a raczej w mordowaniu ofiar, do końca całej orgii pseudo-sądowej. Maxime du Camp przytacza z czasów komuny paryskiej taki przykład charakterystyczny. Pewien człowiek, ubrany w nędzną bluzę, więc widocznie należący do klasy robotniczej, przechodził przez jeden z placów paryskich w chwili, gdy go zalegał tłum komunistów, już opętany krwiożerczą namiętnością. Ktoś z tłumu nazwał przechodnia całkiem bezmyślnie, bez najmniejszej konkretnej podstawy, podejrzanym, i w okamgnieniu to zdanie znalazło taki odgłos, że podejrzenie, opanowawszy w jednej chwili wszystkich, mimo żywych protestów niewinnej ofiary, zmieniło się w przekonanie, a zaraz potem w doraźny i na poczekaniu wykonany wyrok śmierci. W gronie tej tłuszczy był niezawodnie niejeden taki Grapin, skłonny pierwotnie do ocalania ofiar, było pewnie mnóstwo takich uczestników, którzy po za tłumem nazwaliby prostem morderstwem doraźne stracenie człowieka, na podstawie tak bezmyślnego, idyotycznego oskarżenia, dla których później zapewne samo wspomnienie o udziale w takim sądzie doraźnym tłumowi stanowiło do śmierci torturę moralną.

Czy potrzeba koniecznie stawiać nowe hipotezy na tle sugestyi, aby wytłómaczyć, z kąd pochodzi takie ślepe poddawanie się tłumowi dzikim uniesieniom, takie oszołomienie moralne wobec najhulaniejszych wybryków? Jest to przecież dzieło afektu, skutek stanowczej a tak zupełnej, niejako zaślepiającej przewagi

jednego motywu w działaniu, że wola zdana jest całkowicie na jego komendę, a intelligencja, opanowana zupełnie jego siłą i obrazami, zostaje niejako ubezwładniona i jest niezdolna do jakiegokolwiek trzeźwej refleksji, a tem mniej do reakcji. Tak stanowczą jest i będzie zawsze potęgą afektu w dobrem i złem znaczeniu, bo na tem właśnie polega jego istota. Ze wypadki pierwszej kategorii są rzadkie, a drugiej tak częste, że tłumy, uniesione szlachetnymi motywami, stanowią wyjątki, a tłumy, idące za rozpasanymi instynktami występniemi, są zjawiskiem, tak często się powtarzającym — to uważać należy niejako za odbłask natury ludzkiej, skłonniejszej niestety zwykle do zdrożnych wybryków, aniżeli do dobrych popędów, łatwiej dającej się porwać ekscesom, aniżeli podniosłym hasłom. Rzecz naturalna, że w takiej masie, zostającej pod wszechwładnym wpływem afektu, nieprzystępnej dla ostrzegającego głosu rozumu, ze spotęgowaną siłą występuje ów powszechny popęd naśladowczy, który przy formacji tłumy odgrywa taką samą rolę, jak gwałtowny powiew wichru, zmiatający kurz dokoła, aby go zbić w jeden słup gęsty i ciemny.

Tarde w swoim głośnem studyum o prawidłach prądu naśladowczego wypowiedział wiele zdań, ciekawych dla sprawy formacji tłumów. Podnosi on mianowicie ¹⁾ że funkcyje wyższych zmysłów więcej pobudzają do naśladownictwa, aniżeli funkcyje zmysłów niższych, więc funkcyje słuchu lub wzroku wpływają na drugich w kierunku naśladowczym silniej, aniżeli wyłączenie węchu lub smaku. Ztąd pochodzi owo szczególnie w miastach tak często powtarzające się zjawisko, że już samo tajemnicze wpatrzenie się

¹⁾ G. Tarde: *Les lois de l'imitation. Etude sociologique.* Paris 1890. str. 221 i n.

jednego gapia w pewien przedmiot zatrzymuje innych. nieskłonnych może zresztą do bezmyślnego zatrzymywania się po drodze, i to nawet bez pomocy szluczek mistyfikacyjnych. Jeżeliż jeszcze do tego gapienia przyłączy się hałas, formalny ryk całej zgrai, to koło jej rozszerza się coraz więcej, to tuman kurzu wzrastać musi ciągle, dzięki świeżym podmuchom wiatru na śmieciisku ulicznym.

Jak w zmysłach, tak i w ustroju psychicznym odróżnia Tarde siłę wpływów w kierunku naśladowczym. Pod tym względem afekt góruje nad namiętnością, namiętność nad zwyczajną, skłonnością lub zachceniem, uczucie potrzeby zbytkowej nad potrzebą powszednią. Ciekawości należy się miejsce honorowe. Wpływ jej na tworzenie się zbiegowisk wszelkiego rodzaju jest znaczny i na każdym kroku widoczny. Ciekawość stanowi wogóle na każdym polu, w polityce, przemyśle i t. d., ważny czynnik tego prądu, który niewidzialnie popycha jednostki ku sobie, jednoczy -je w gromadki, koła, wreszcie i w tłumy.

Wszystko to składa się na trafną ilustrację myśli, zawartej w naszym starem przysłowiu: lepiej rozumem niż tłumem. W tłumie, powstającym za wpływem powyższych czynników, potrzeba tylko haśła podniecającego, ażeby afekty i złe instynkty zagłuszyły najzupełniej komendę rozumu, a wtedy już tylko od przypadku zależy, czy zatrze się różnica między tłumem ludzi a gromadą zwierząt, rozumu raz na zawsze pozbawionych. To też Espinas ¹⁾, który od gromad zwierzęcych radzi rozpocząć budowę naukowego gmachu socjologii, wpadł jeżeli nie na trafny, to w każdym razie bardzo ciekawy pomysł cyfrowego przedstawienia stosunku, w jakim siła afektu rośnie

¹⁾ Alfred Espinas: *Les sociétés animales*. Etude de Psychologie comparee. Paris, 1877. (W niemieckim przekładzie Schloessera, str. 347).

wśród tłumu. Espinas wychodzi z założenia, że wpływ tłumnego skupienia się na jednostki jest uwagi godny w całym świecie żyjących stworzeń. Co do takiego skupienia ludzi, mówi Espinas: Wiadomo, że człowiek w samotności ani tak nie czuje, ani tak nie myśli, jak w tłumie, a pewien sławny krytyk nieraz zrobił to spostrzeżenie, że w teatrze widzowie w tłum skupieni stają się całkiem innymi, aniżeli każdy z nich z osobna. Co dzieje się w zgromadzeniu, do którego mówca przemawia? Przypuśćmy, że wzruszenie przez niego uczuwane, równa się 10, a z tego wzruszenia przy pierwszych zaraz słowach, przy pierwszym porywie krasomówczym udziela się przynajmniej połowa każdemu z 300 n. p. słuchaczy. Każdy słuchacz odpowie na to oklaskiem lub zdwojoną uwagą, na zewnątrz okaże się w audytoryum pewne naprężenie, a suma tych objawów złoży się na to, co w sprawozdaniach z posiedzeń parlamentarnych nazywane bywa »poruszeniem«. To poruszenie uczuwają wszyscy równocześnie, gdyż na słuchacza wpływają także inni słuchacze, tak samo, jak na mówcę, a fantazyę każdego słuchacza porywa już sam widok 300 osób, przejętych poruszeniem. Jeżeli słuchacz uczuwa tylko połowę tego ogólnego poruszenia, to wtedy jego udział w niem równa się nie 5, lecz $\frac{5}{2} \times 300 = 750$. Jeżeli to prawidło zastosujemy do tego, który przemawia wobec takiego poruszonego tłumu, to jego poruszenia według powyższej miary przypuszczalnej nie równałoby się już 750, lecz $300 \times 750/2$. Przemawiający bowiem stanowi punkt środkowy, ku któremu wracają wrażenia głęboko poruszonego tłumu. W tem leży powód, dla którego niejeden niewprawny jeszcze mówca popada w zakłopotanie właśnie wskutek sukcesu nadzwyczajnego słów swoich. Wrażenia bowiem, jakie te słowa wywołały, wracają tak znacznie spotęgowane

ku mówcy, że go wprowadzają niemal w osłupienie. Jeżeli mówcy powiedzie się zapanować nad swoim wzburzeniem i skierować wpływ swój na tłum, to między przemawiającym a jego słuchaczami powstanie poniekąd szereg elektrycznych wzburzeń, tak, że obie strony wnet wyjdą ze zwyczajnej moralnej równowagi.

Jeżeli tak ma działać siła krasomowstwa, o ileż raźniej działać muszą namiętne prowokacye i podżegające zachęty hersztów w tłumie, sformowanym z ulicznych żywiołów? W takiej atmosferze wystarcza mała iskierka, aby płomień buchnął od razu dokoła; wystarczy jeden głos podniecający, aby zawtórował mu ryk całej masy, wystarczy rzucona przez jednostkę szalona, nedorzeczna uwaga, aby zmieniała się w hasło sprzęgające całą masę w jedną bandę, gotową do czynu. Ci, którzy w tłumie znaleźli się tylko przypadkiem, i ci, którzy przyłączyli się do niego z prostej ciekawości, jedni i drudzy nie słysząc zagłuszonej komendy rozumu, albo ulegają bezwiednie huraganowi afektu, albo popadają w przerażenie, ubezwładniające ich energię do tego stopnia, że automatycznie posuwają się, a raczej posuwani są za innymi. Namiętność potęguje się w tłumie sama przez się, nawet bez dalszych podnieceń zewnętrznych, a szal, który opętał wszystkich, zagłusza wszelką refleksyę i wrażliwość na przestrożę. Tłum w takim stanie już jakby jakie dzikie zwierzę pędzi, gdzie go oczy niosą, gotów do zmiążdżenia wszelkiej zapory w drodze, zdolny do popełnienia najdzikszej zbrodni.

Kto wnięszął się w taki tłum i razem z nim wszedł w taki stan dzikiego szału, nie przestaje być odpowiedzialnym wobec prawa, tak samo, jak każdy, kto rozmyślnie czy lekkomyślnie dał się wprowadzić w stan alkoholicznego upojenia, aby mieć po swojej

stronie pozory niepoczytalności. I w jednym i w drugim wypadku, działanie rozumu jest chwilowo sparaliżowane, w pijaku skutkiem alkoholu, w uczestniku rozpasanego tłumy wpływem afektu. Jeden i drugi wie to dobrze, sam instynkt dyktuje mu to w chwili krytycznej, gdy przewycięzać musi bodaj lekkie wahanie się przed krokiem fatalnym a stanowczym. A co prostaczek niejako instynktowo czuje, to potwierdzają uczeni właśnie z tej szkoły, która całą duchową stronę życia w człowieku sprowadza na fizyologiczny poziom funkcji systemu nerwowego. Weźmy klasycznego świadka Maudsley'a ¹⁾. Siłę rozumu nazywa on refleksyjną i tamującą. »Objawia się ona więcej w powstrzymywaniu namiętnie przyspieszonego działania i w opanowywaniu naszych popędów, aniżeli w kierownictwie sposobu działania. Zadanie rozumu polega, jak to już Comte podniósł, nie na dawaniu regularnego impulsu do działania, lecz na głosie doradczym«. Tem tłumaczy Maudsley chwiejność w decyzji i wogóle brak szybkiej a stanowczej determinacji u ludzi, w których przeważa badająca i rozważająca funkcja rozumu.

Fournial skończył, jak już wspomnieliśmy, swoją monografię o tłumach przestroga, że należy zapobiegać zbieraniu się tłumy, gdyż najczęściej zład wynikają złe następstwa. Uwagi tej nie uzasadnił Fournial ze swojego stanowiska, chociaż to niezbędnem było w paradoksalnej teorii, przedstawiającej tłum, jako amalgamat ludzki z zupełnie samodzielnym i odrębnym ustrojem psychicznym. Bez aplombu filozoficznego, bez pomocy paradoksu, ale za to na pewnej bo klasycznej podstawie psychologicznej popartej własną długoletnią obserwacją w zawodzie najszersze

¹⁾ Henry Maudsley (w niemieckim przekładzie Dra A. Böhma): *Die Physiologie und Pathologie der Seele*, str. 139.

pole dla niej otwierającym, scharakteryzował tłum były prezydent trybunału apellacyjnego w Paryżu, Berard des Glajeux w swoim znakomitem dziele o namiętnościach zbrodniczych. »W skupieniu się ludzi — mówi on ¹⁾ — wytwarza się zgnilizna tak samo, jak w jabłkach, leżących obok siebie«.

Jeżeli więc dzisiejsi socyologowie wynikiem własnej obserwacji tłumów zbrodniczych usiłują nadać taki charakter, jakgdyby chodziło o odkrycie nowego zjawiska społecznego, lub co najmniej o zainicyowanie analizy umiejętnej aglomeratu ludzkiego z osobnym ustrojem psychicznym i społecznym, i jakgdyby na tych wynikach dopiero oprzeć wypadało już bezwarunkowo nową kategorię przestępstwa z odrębnymi kryteriami i normami repressyi karno-społecznej, — to jest to przesada widoczna, przesada, przenosząca bez żadnej racji nowość w samej tylko formie i metodzie obserwacyjnej na istotę rzeczy, jak świat starej. Wyniki tej obserwacji pod niejednym względem może jeszcze więcej komplikują i tak już bardzo zawiłą w teorii i w praktyce kwestyę ścisłego oznaczenia stopnia współwiny w przestępstwie, zbiorowemi siłami dokonaniem, ale zład nie wypływa, żeby potrzebny być miał formalny wyłom w zasadach dzisiejszej klasycznej teorii karnej. W jej ramach sędzia może oznaczyć najsubtelniejsze nawet odcienia winy i odpowiedzialności, a czy to połączone jest z większym lub mniejszym trudem, z większym lub mniejszym niebezpieczeństwem, iż taki rozdział nie zbiegnie się całkowicie z idealnemi liniami demarkacyjnemi zupełnej sprawiedliwości, to inna kwestya. Skończona doskonałość w ogóle a w wymiarze sprawiedliwości szczególnie jest przeciw niedoścignioną dla człowieka.

¹⁾ Berard des Glajeux: *Les passions criminelles*. Paris. 1893. str. 171.

III.

Miasto i wieś.

Inaczej rzecz się przedstawia, jeżeli socyologicznej obserwacji i analizie tłumy zakresli się we wnioskach skromniejsze granice i jeżeli wyjdzie się z tego punktu widzenia, że tłum nie jest żadnym nowym, dotąd nieznanym okazem społecznej formacji, lecz tylko z rzadkiego dotąd zjawiska w życiu społecznym stał się częstszym, niestety nawet nadto częstym, a w dodatku pod wpływem zmienionych stosunków przybrał w powstawaniu i w działaniu swoim nowe uwagi godne znamiona charakterystyczne. Z tego stanowiska otwiera się obszerne i wdzięczne pole obserwacji, a zarazem podstawa dla praktycznych wskazówek.

En masse — oto jedno z wybitnych znamion dzisiejszego ruchu ekonomicznego i życia społecznego wogóle. *En masse* produkujemy, *en masse* wywozimy i sprzedajemy, *en masse* podróżujemy, *en masse* w niesłychanym dotąd tego słowa znaczeniu masakrować się nam wypadnie w przyszłej, da Bóg odległej, wojnie i t. d. Najpierw w życiu gospodarczym dokonała się zmiana pod tem hasłem, gdy za wpływem zdumiewającego postępu techniki i łącznie z nim postępującego podziału pracy, zmienił się zupełnie tryb produkcji. Znikły na zawsze dawne zamknięte w sobie, samodzielne w produkcji i zaspokajaniu potrzeb, gospodarstwa domowe. Jedna gałąź produkcji po drugiej zaczęła się oddzielać od pnia, niegdyś wspólnego w zamkniętych gospodarstwach, i samodzielnie rozwijać się, a w miarę, jak ten proces gospodarczo-emancypacyjny postępował, rozpoczął się także ruch ludności na nowych torach. W naturalnej bowiem

konsekwencji tej zmiany, miasta, jako ogniska inteligencji zawodowej i punkta centralne ruchu obrotowego, uzyskały ogromną siłę atrakcyjną, której zawdzięczają nieprzewidywany wzrost ludności, już dotąd osiągnięty i ciągle jeszcze naprzód postępujący. Wielkie miasta w dawnym znaczeniu urosły na olbrzymów, średnie przybrały rozmiary stolic dawniejszego kroju, a nawet nędzne niegdyś osady, które sobie przemysł za siedlisko obrał, zmieniły się pod okiem jednego pokolenia, jak n. p., żeby nie oglądać się za obcemi przykładami, Łódź w Królestwie Polskiem, w miasta z krociową ludnością. Jeszcze w początkach bieżącego stulecia taki wzrost miast wydawałby się był niemożliwym. W Ameryce dochodzi symptom ten do ekscentrycznej przesady, za której wyraz charakterystyczny możnaby uważać owo przebieranie wszelkiej miary pod względem rozmiarów i wysokości domów. Podnosimy ten szczegół, aby tylko zwrócić uwagę, że ewolucya miast urąga już nawet tak uznanej sławie praktycznego zmysłu Amerykanów. Zresztą pominiemy Amerykę, gdyż wystarczy tutaj skromniejszy przykład Europy, a i ze skromnej w porównaniu z ekscentryczną Ameryką naszej części świata, bierzemy za przykład tylko Austryę, która nie zajmuje pod tym względem pierwszego miejsca statystycznego, nie zajmuje nawet jednego z miejsc pierwszych. A jednak daty, nawet i ztąd czerpane, są w wysokim stopniu charakterystyczne. Przed 50 laty miasta w Austrii obejmowały zaledwie $\frac{1}{3}$ ogólnej cyfry ludności, a dziś miejska ludność wynosi już $\frac{1}{3}$ tej cyfry. W tym okresie czasu ludność wiejska wzrosła o 23%, a miejska o 48%. Ogólna suma mieszkańców miast z ludnością powyżej 20.000 głów wzrosła ponad 300%. Wzrost ten jest także i statystycznym wyrazem fluktuacyi ludności wiejskiej, przesiedlającej

się do miast już nie tylko z najbliższych okolic, lecz i z odległych zakątków, w których dawniej całe pokolenia wymierały, nie ujrzawszy ani razu wielkiego miasta. Im większe miasto z charakterem przemysłowym, tem większa jego siła przyciągająca dla ludności wiejskiej, tak samo, jak według prawideł fizyki siła przyciągająca ciał wzrasta równomiernie z ich objętością.

Za szybko odbywa się ten ruch, aby go nazwać można normalnym. Gorączka prawdziwa przebija z tej fluktuacyi. Ludność wiejska tak chętnie spieszy ku miastom, jakby czekały tam na nią bogactwa na bruku leżące. Cyfra zarobku miejsko - przemysłowego ma dla wieśniaka urok wielki, bo oblicza on jej wysokość według skromnej skali zarobku wiejskiego i jeszcze skromniejszej miary potrzeb wiejskich. Urok ten nie niknie, chociaż złudzenie trwa w mieście bardzo krótko, bo niedostateczność zarobku okazuje się wśród drożyzny zaraz na pierwszym kroku, a tymczasem skala pragnień i zachceń na bruku miejskim odbiega niesłychanie od miary wiejskiej. Widok tego wszystkiego, co miasto dać może zamożnym, musi nawet w najskromniejszym przybytku obudzać zachcenia dotąd mu nieznanne. Zachcenia te, niezaspokojone i w największej części nigdy zaspokoić się nie dające, tem dotkliwiej uwydatniają niedostateczność zarobku wiejskiego na pokrycie wszystkich potrzeb życia. Powstaje gorycz, którą wszystko dokoła ciągle podnieca, a której nie uśmierzają już czynniki moralne, jakie wieśniaka na wodzy trzymają: dom, rodzina, siła tradycyi, łączących człowieka z ojcowizną i osładzających mu ciężką pracę dla jej utrzymania.

Wobec takiego stanu rzeczy ów wybujały napływ ludności wiejskiej ku miastom, napływ gorączkowy, nieprzygotowany stopniowym rozwojem stosun-

ków, dostarcza nieustannie nowych żywiołów owej demoralizacji ogólnej, a społecznej przede wszystkim, której widownią jest dzisiejsze całe życie miejskie w niższych klasach. Pięknie brzmiący, ale dziś już więcej niż wątpliwy, frazes o miastach, jako czynnikach oświaty i kultury, zakrawa na szyderstwo. Proletaryat miejski zadaje mu kłam na każdym kroku. Owe ogniska zamiast oblewać dokoła promieniami światła ludność wiejską, jakby błędne ogniki nęcą w przepaść rozstroju społecznego całe masy ofiar własnej nieogłędności i własnych zachceń, tak sprzyjających niegodziwej spekulacji na wyzyskiwanie każdej nieświadomości i łatwowierności.

Stanęliśmy na właściwej arenie tłumy, jako zjawiska poniekąd już normalnego, a przynajmniej powszedniego w czasach dzisiejszych. Jeżeli obserwacja socjologiczna zamiast gubić się w mgłę hipotez i paradoksów o tłumie, jakby jakim niezbadanym jeszcze potworze socjalnym o odrębnych a samodzielnych warunkach życia i akcji, na tę arenę przeniesie punkt ciężkości, to niezawodnie osiągnąć może rezultaty dodatnie, nawet pożyteczne o tyle, o ile w każdym chorobliwym stanie, a więc i w dzisiejszej fazie poważnego rozstroju społecznego, dobra dyagnoza każdego symptomu anormalnego daje więcej rękojmi wyboru dobrych środków zaradczych. Pokazuje się to zaraz na tych uwagach Tarde'a, które z takiej właśnie obserwacji wynikły. Według podanej przezeń charakterystyki ludności wiejskiej i miejskiej ¹⁾, »obie te grupy, jakkolwiek solidarne i oddzielone tylko granicą znikającą, odbijają od siebie szeregiem rysów charakterystycznych. Jedna jest wierna zwyczajom i tradycjom, druga przystępna dla zachceń i nowości;

¹⁾ G. Tarde: *La Philosophie penale* (j. w. str. 268 i n.).

jedna powolna dla przykładu przodków w domu i ojczyźnie, druga ulegająca wpływowi obcych; jedna popędliwa w swojej prostocie, druga zepsuta w formach wyrafinowanych: obie tedy tak odmienne, że niemożna ich mieszać ze sobą... Na wsi panuje społeczeństwo — rodzina, a życie i wzrost ludności wiejskiej nie wychodzi z karbów domowych. W miastach panuje społeczeństwo — tłum; ze wszystkich stron zbiegają się tam ludzie, wyrwani z domu swojego i zmięszani ze sobą bezładnie.

W nadzwyczajnym wzroście miast, zapełniających się społeczeństwem-tłumem, widzi francuski prawnik-filozof jeden z najpoważniejszych objawów dzisiejszego stanu społecznego i moralnego. W tych miejskich mrowiskach ludzkich, szczególnie podlegających prawidłom popędu naśladowczego, na tem żyznym polu kultury wszelkich bakteryj moralnych, przestępstwo, zmieniające zawsze swój zewnętrzny charakter a raczej naginające się do stosunków danej fazy cywilizacyjnej, przybiera odmienne znamiona. Wytworzył się formalny brygantyzm miejski, nieużywający narzędzi morderczych dla wymuszania okupu, lecz osiągający ten sam cel, t. j. korzyść z cudzą krzywdą, środkami tak wyrafinowanymi, jak różne rodzaje oszustwa, sprzeniewierzenia i t. p., że walka prawa z bezprawiem jest na tym terenie daleko trudniejsza, niż z brygantami starej daty. Zatem typ więcej gwałtownej, ale za to i więcej sporadycznej, bo przeważnie tylko wybuchami namiętności wywoływanej zbrodni wiejskiej, zmienia się na typ wyrachowanego i wyrafinowanego przestępstwa. Przestępstwo i zepsucie (*le crime — le vice*) — oto według Tarde'a najzwężlejsza i najtrafniejsza charakterystyka kryminalistyczna wsi i miasta.

Metamorfoza ta jest jednym z głównych, ale nie jedynym rysem charakterystycznym różnicy między życiem wiejskim a miejskim *fin de siècle*. Odbywa się nadto jeszcze metamorfoza socyalna głębszego znaczenia. Miasta bowiem wywierają dziś na ludność wiejską taką siłę atrakcyjno-naśladowczą, jak w dawnych wiekach dwory monarsze i magnackie. Tem swoim znaczeniem, zwłaszcza wpływem na popęd naśladowczy, przygniatają niejako miasta całe okolice, a stolice całe kraje, narzucają swoje mody, zwyczaje, wynalazki, nawet wątpliwą powagę swoich wielkości efemerycznych na polu polityki, sztuki i t. p. Na takim wpływie Paryża w całej Francyi, więc na typowym przykładzie wpływu wielkich miast w ogóle, podnosi Tarde, że tą drogą wytwarza się całkiem nowa hierarchia społeczna pod płaszczyklem zwycięskiego hasła republikańskiego wolności, równości i braterstwa. Robotnik miejski jest w oczach wieśniaka czemś wyższem, niejako arystokratą *sui generis*. To też pierwszy spogląda na drugiego takim okiem, jakim nań pryncypał patrzy, a drugi widzi w mieście świat lepszy i wyższy, w ludności miejskiej śmietankę społeczeństwa, do której sam chciałby należeć.

Z temi aspiracyami do urojonego wywyższenia się w nowej, schyłkowi bieżącego stulecia właściwej, hierarchii, łączą się jeszcze inne pobudki z wielką siłą atrakcyjną. Chęć używania widzi w mieście zdroj rozkoszy, niewyczerpany i otwarty dla każdego; żądza rozgłosu efemerycznego, dla którego miasta ustawiły niejako scenę przestronną i przystępną, podnieca i drażni każdą próżność; marzenie o życiu wesołem bez pracy łączy się w każdej próżniaczej wyobraźni z widokiem miasta, jakby jakiego raju; każda żyłka awanturnicza porusza się i drga w dorastającej klienteli występku na samą myśl, że w mieście i jego

gorączkowem życiu na każdym kroku nadarza się sposobność do pofolgowania złym instyktom z wielką szansą ukrycia się przed wyteżonem wprawdzie, ale też i znużonem, okiem policyi. Wszystko to razem wzięte składa się na obraz jednego z wielce charakterystycznych zjawisk ze schyłku stulecia, obraz fenomenalnego wzrostu miast i ich ludności, idącego w parze z wzrostem przestępczości wśród niezdrowej pod względem fizycznym i moralnym atmosfery miejskiej, wśród zagłuszającego ucho i sumienie wiru życia miejskiego.

Wzmianka o tym wzroście przestępczości na gruncie miejskim nie jest przypuszczeniem, lecz faktem stwierdzonym statystycznie. Tarde ¹⁾ liczy się z nim jako z rzeczą notoryczną. Joly ²⁾ wyraża stosunek statystyczny przestępstw we Francyi, po wsiach i miastach popełnianych, biorąc 100.000 mieszkańców obu kategorii za podstawę porównawczą, w cyfrach 8 i 17 i dodaje do tego taką smętną uwagę: »Jeżeli warunki życia miejskiego nie poprawią się znacznie, to wzrost miast jak jest teraz, tak będzie i nadal widoczną przyczyną wzrostu przestępczości... Jest jedna kategoria ludzi, którzy nigdy nie będą lepsi. Są to ci, których statystyka umieszcza w rubryce z napisem: »bez stałego miejsca zamieszkania«, lub »niewiadomego pochodzenia«. Ta uwaga francuskiego socyologa stosuje się z mniejszą lub większą odmianą także do innych krajów europejskich, w których miasta również wzrosły w ostatnich czasach w sposób dotąd niebywały.

Nie dla predylekcyi lub przypadkowo tylko, lecz z rozmysłem i z przedmiotowych powodów zatrzy-

¹⁾ G. Tarde: *La criminalité comparée*. Paris, 1886, str. 153 i n.

²⁾ H. Joly: *La France criminelle*. Paris, 1889, str. 251 i n.

mujemy tak długo czytelnika przy obrazie stosunków francuskich. Najpierw bowiem Francja stanowi dla socyalnej fizjologii tłumów klasyczne pole obserwacyjne, nie tylko, jak to już zaznaczyliśmy, z tytułu historycznego, lecz także wobec współczesnej ewolucji miast i życia miejskiego; powtóre pisarze francuscy, którzy na tę stronę życia społecznego zwrócili szczególną uwagę, łączą w swojej obserwacji i w przedstawieniu jej rezultatów z filozoficznym pogłębieniem kwestyi, prawniczą precyzję i tę delikatną wrażliwość na wszelkie symptomata wzrostu przestępczości, jaką posiada każdy zawodowy sędzia wyższej miary. Takim pisarzem jest przede wszystkim Tarde, który chociaż jest pozytywistą z odrębnem i zupełnie oryginalnem stanowiskiem, w kreśleniu znamienych cech sytuacji schodzi się z obserwatorami fachowo równie kompetentnymi jak on, ale zajmującymi zresztą odmiennie stanowiska zasadnicze, jako mniej lub więcej gorliwi obrońcy panującej klasycznej teorii karnej.

Proal ¹⁾, prawie antypoda filozoficzny Tarde'a, tak samo jak on sędzia zawodowy, a zarazem autor dzieła prawnofilozoficznego, premiowanego przez paryską akademię nauk politycznych i moralnych, równie dobitnie podnosi statystycznie stwierdzoną wyższość życia wiejskiego nad miejskiem pod względem moralnym, a na pytanie, dlaczego tak jest, daje odpowiedź bardzo jasną i tak sformułowaną, że może służyć za objaśnienie, w danym razie za przestrożę, każdemu społeczeństwu. »Wyższość ta — mówi wspomniany pisarz — pochodzi z wielu przyczyn. Opinia publiczna i obawa hańby mają większy wpływ na wsi, aniżeli w wielkiem mieście, gdzie przez samą zmianę pomieszkania uchylić się można z pod kontroli krewnych

¹⁾ Louis Proal: *Le crime et la peine* (j. w. str. 219 i n.).

i sąsiadów, kiedy tymczasem mieszkańiec wsi żyje pod okiem swoich współobywateli. Nadzór krewnych i słuźbodawców nad dziećmi i słuźbą wykonywa się łatwiej na wsi. Pokusy są większe w mieście; kawiarnie i restauracye, szynki i t. d. są tam na każdym kroku i odrywają od pracy. Złe przykłady występują na jaw z większą bezwzględnością, cnota kryje się a zdroźność narzuca pod wszelkimi formami... Indywidua upadłe i recydywiści szukają schronienia w wielkich miastach. Urzędnik oddalony, kupiec-bankrut, kobieta z czci wyzuta, wszystkie te istoty szukają przytułku w wielkiem mieście i tam prowadzą dalej swoje rzemiosło«.

Nie koniec na tem; to dopiero tło obrazu, na którem roztacza się widok przestępstwa z taką obfitością wyrafinowanych form i nikczemnych sposobów, o jakich w świecie wiejskim nie ma się wyobrażenia. Proal kreśli ten obraz w szczegółach zgodnie z Tardem, podnosi jednak dobitnie jedną okoliczność, na którą ostatni pisarz jako pozytywista nie położył należytego nacisku. Według słusznej uwagi Proala wieś zawdzięcza moralną wyższość swoją w znacznej mierze żywшему poczuciu religijnemu ludności. W miarę jak to poczucie zanika a z niem upada najsilniejsza baryera przeciw naciskowi zepsucia, szerzącego się w kierunku od miast ku wsiom, życie wiejskie wystawione jest w tem ciągłym falowaniu społecznem, w tym nieustannym odpływie i przyptywie ludności na coraz większe niebezpieczeństwo utraty wyższości dotychczasowej.

Mouton ¹⁾, tak samo jak obaj poprzednio wymienieni pisarze, doświadczony sędzia a zarazem znakomity autor, widzi także we wzroście miast i jego

¹⁾ Eugene Mouton: *Le devoir de punir*. Paris, 1887. str. 13 i n

konsekwencyi, w rozbudzeniu chęci używania w masach ludności jedną z głównych przyczyn wzrostu przestępczości. Niestęchanie ułatwiona lokomocya niejako z korzeniem wyrwała całe klasy ludności ze wsi, gdzie dawniej w spokoju pracowano i zadowalano się owocem cichej pracy, wystarczającym na pokrycie skromnych potrzeb. Do tej wędrówki ku miastom nęci jednych chęć używania i łatwość zaspokojenia tej chęci na bruku miejskim, innych ze złemi instynktami nieustanna sposobność do dogodzenia tym instynktom ze stosunkowo najlepszymi szansami bezpieczeństwa. »Festyny, widowiska, wystawy, bankiety i t. p. — mówi ten pisarz — zajęły miejsca dawnych zabaw prostych i naturalnych, przynęcają i poruszają ludzi ze wszystkich stron, wciskają ich nieustannie w tłumy, a oddalają od rodziny, od przyjaciół i obowiązków. Pod wpływem niepohamowanej a przemysłem podsycanej żądzy bogactwa, jako środka dogodzenia żądzom, rolnicy zrujnowani poniekąd za wpływem przemysłu, opuszczają ziemię, na której nie mogą się utrzymać i spieszą do wielkich miast z ludnością robotniczą. Tam się wzbogacają, stają się panami swoich pryncypałów za pomocą strejku a panami rządu za pomocą rozruchów. W ten sposób statyka życia zupełnie została zachwiana. Człowiek oderwał się od ziemi, nie stoi na niej, lecz kręci się w koło. Hotel i wagon zastąpiły dom ojczysty, którego dawniej nigdy nie opuszczano, i starą karyolkę, która w najśmielszych kursach nie przekraczała granic kantonu. Człowiek nie jest już tem, czem z natury powinien być, t. j. osiedlonym na jednym miejscu. Duch, ciało, charakter, wszystko zostało zmobilizowane i stało się wartością ruchomą. Indywiduum jest już tylko częścią grupy, osoba została zabsorbowana w tłumach, wśród których duch z trudnością zachowuje świadomość

mość swoich funkcyj, a uczucie, inteligencya i wola zdają się razem ułatwiać».

Gdzie kres tego ruchu, a raczej wiru, który w większym lub mniejszym stopniu ogarnia wszystkie kraje? Chyba hipotezą możnaby odpowiedzieć na to pytanie, ale hipoteza w tym wypadku zakrawałaby więcej niż kiedykolwiek na formalne proroctwo. Tarde zapowiada i analogią dawnych okresów cywilizacyjnych popiera wróżbę, że po dzisiejszej gorączkowej fazie życia społecznego, uświetnionej szeregiem wielkich wynalazków i udoskonaleń na różnych polach, nastąpi okres ustalonych zwyczajów i spokojnej równowagi. Ze tak się stanie, w to wierzyć trzeba koniecznie, jeżeli się wierzy w nieprzerwany postęp cywilizacyjny ludzkości. Ale żeby wystąpić z taką hipotezą, Tarde musiał cokolwiek otrząść się z pozytywizmu i wznieść się w sferę idealnych wyobrażeń o przyszłości, zakreślona ludzkości przez wyższą, nieodgadnioną dla człowieka potęgę. Ze stanowiska tak wpływowego jeszcze w socjologii darwinizmu, ruch powyżej przedstawiony, byłby tylko fatalną oznaką, że żyjemy wobec ciemnej przyszłości, w krytycznej fazie społeczno-moralnego przesilenia. Z tego stanowiska za trafną charakterystykę czasów dzisiejszych trzeba przyjąć chyba słowa Schöfflego ¹⁾: »Zrozumiemy przyczynę wielkich dziejowych procesów demoralizacyjnych i korupcyjnych, jeżeli nie zapomniemy o tem, że silne i czyste rozbudzenie zmysłu prawnego i moralnego musi mieć źródło swe w głęboko wkorzenionem, szeroko rozpowszechnionem i dziedzicznie utrwalonem poczuciu solidarności i łączności społecznej. Tylko w takim razie obyczaje wywierają po-

¹⁾ A. Schaffle: *Über Recht und Sitte vom Standpunkte der sociologischen Erweiterung der Zuchtwahltheorie* (w *Vierte Jahresschrift für wissenschaftliche Philosophie*, Leipzig, 1878, t. II, str. 38 i n.).

tężną reakcyę w duchu zachowawczym dla całości. Poczucie to tylko tam się zatracą, gdzie jedność ducha społecznego zamiera, gdzie wcisną się obce żywioły, gdzie powstaje pomięszanie i dorywcze skupienie się nieswojskich żywiołów ludowych, gdzie odbywa się szybka formacya luźnych tłumów. Tak było w starym Rzymie, tak w średniowiecznej monarchii frankońskiej, tak w wielkomijskich tłumach dzisiejszych, tak w gromadzeniu się niespokojnych żywiołów Europy na gruncie amerykańskim. W takim stanie rzeczy muszą powstawać gniazda niemoralności».

Właśnie owo poczucie łączności i solidarności społecznej, na które Schöffle nacisk kładzie, jest zwichnięte w takim stanie mobilizacyi społecznej, o jakim wyżej była mowa. Jak w czasie długiej posuchy ziemia pokryta jest grubą warstwą lotnego materiału, który za pierwszym podmuchem silniejszego wiatru wznosi się w górę, zbija w kłęby i słupy, zaciemniająca widnokrąg, tak owa wędrująca, lotna warstwa społeczna, wytworzona w dzisiejszym przejściowym okresie życia społecznego prawie nagłą ewolucyą miast i ognisk przemysłowych, porusza się, wiruje i zbija w tłumy za każdym z tych licznych a podbijających płytkie, nieoświecone umysły haseł i formułek, któremi pełną garścią rzuca dokoła po sekiarsku zorganizowana falanga apostołów przewrotu ekonomiczno-społecznego. Ile jest tych formułek propagandy, przedstawiającej stan dzisiejszy, jako piekło ekonomiczno-społeczne, a druzgotanie całego porządku państwowo-społecznego, bez żadnego nawet planu nowej organizacyi, jako pierwszy krok do rajy ziemskiego, tyle jest też owych podmuchów propagandy, wyprowadzającej tłumy na widownię, jakby rezerwę obok linii, która porusza się szykiem bojowym w socyalno-demokratycznych stowarzyszeniach, zgromadzeniach

i strejkach. Dziś odbywają się dopiero mniejsze i większe manewry, w najgorszym razie tylko demonstracje wojenne tej linii i rezerwy socjalno-demokratycznej; ale działający w ukryciu zręczni i jawnie występujący wodzowie tej społecznej siły nieprzyjacielskiej tak są pewni zwycięstwa, że odgrają się rychłem przejściem z demonstracyjnej fazy ruchu w stan otwartej wojny społecznej. Można te groźby uważać za przechwałki, wdrygając się na samą myśl, żeby dzisiejszy przejściowy okres powolnego przekształcania się stosunków ekonomiczno-społecznych koniecznie przebyć musiał taką zawieruchę, ale, mimo to wszystko, symptomów takich, jak powyższe, ani lekceważyć, ani bez zapobiegawczej akcji pozostawić niepodobna.

Jeżeli socyologowie, jak Tarde, charakterystykę dzisiejszej mobilizacji społecznej zamykają w zdaniu, że wieś-rodzina popada w zanik, a miasto-tłum zyskuje przewagę, to można to przyjąć za trafny rys charakterystyczny obecnej przemijającej doby, ale nie za niewzruszone znamię całej fazy społecznego rozwoju. Jest to bowiem tylko dowodem zaniedbania moralnej strony wychowania społecznego, jeżeli dziś z pojęciem miasta wiąże się tak ściśle tłum, jako typ luźnego agregatu ludzkiego, a rodzina, owa za świadectwem historii prawa od początków bytu ludzkości niezmienna w swoich funkcjach, komórka organizmu społecznego, miałaby się łączyć tylko z głuchym wspomnieniem dawnej wsi, oddzielonej od miasta daleką drogą i odrębnością całego trybu życia. Miasto-rodzina nie stanowi połączenia pojęć, wzajemnie się wykluczających. Ich ściśle połączenie stanowi owszem cel, który osiągnąć się daje i osiągnięty być musi pod grozą nieobliczalnej kląski dla normalnego cywilizacyjnego rozwoju społeczeństwa. Dom, w szerokiem całym związku rodziny obejmującym znaczeniu, był

zawsze, jest i będzie pierwszym i najgłówniejszym zakładem społeczno-wychowawczym, czynnikiem rozstrzygającym o zdrowiu społecznym. W tym szerokiemu znaczeniu dom leży już po za sferą prawa pozytywnego, wchodzi w zakres moralności. Jeżeli tedy moralność jest oderwana od niewzruszonego gruntu religijnego, poniżona na stanowisko utylitaryzmu, który nie zdoła i nie stara się nawet objąć całej sfery zadań i potrzeb życia duchowego, to dom przestaje być niewyczerpaną skarbnicą dóbr moralnych, krzepiących człowieka wśród wszelkich sytuacji, a staje się dlań niejako tylko pierwszą etapą, pierwszym schroniskiem, z którego wychodzi na widownię życia bezbronny moralnie, zdany na łaskę losu i przypadku w działaniu swoim. Zwrot ku religijno-moralnemu pogłębieniu całego wychowania społecznego jest dziś, po zboczeniu z tej drogi, wprawdzie niedługim ale już obfitem w fatalne następstwa dla społecznego rozwoju, widoczny i stateczny. Zaznaczamy to tylko, nie wdając się zresztą w szczegóły, które musiałyby już wyjść po za ramy pracy tej wytknięte.

Dzisiejsze występowanie tłumów na widowni życia społecznego w sposób tak wybitny, że pozytywiści mogą już w tem upatrywać na serwo rodzaj atawizmu społecznego, takie odezwanie się instynktów pierwotnego stanu ludzkości, jakim w zakresie indywidualnym miałyby być zbrodnia, stanowi w każdym razie jeden ze znaczących symptomów obecnej niezdrowej sytuacji społecznej. Niemożna go wyrwać z całego kompleksu wszystkich innych symptomatów i szukać takiego specyficznego środka, jakim na organizmie ludzkim leczy się zlokalizowane dolegliwości. Położyliśmy nacisk na wzmacnianie w duchu religijno-moralnym głównego czynnika społecznej łączności i so-

lidarności, na takie wzmacnianie domu w znaczeniu związku rodzinnego, gdyż dyagnoza socjologiczna niezdrowych objawów dzisiejszego życia społecznego tam właśnie znalazła jedno z głównych źródeł złego.

Chyba marzyciel, uważający stan idealny za możliwy do osiągnięcia, mógłby przypuścić, że arena życia społecznego tak kiedyś zostanie oczyszczona, iż nie będzie na niej wcale śmiecia, które za pierwszym podmuchem zbija się w słupy i zamąca atmosferę. Zawsze tłum, jeżeli nie dziki, to jako »kupa swawolna«, będzie regułą, a natomiast wyjątkiem tylko tłum, sformowany i w działaniu pobudzany siłą podniosłej ekstazy, przejęty poświęceniem, jednym słowem: tłum z wyższą ideą.

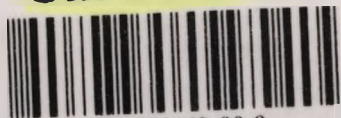
Chodzić więc może tylko o to, aby to, co było zawsze złem, sporadycznie na jaw występującem, nie zagnieżdżało się w organizmie społecznym, jakby jaka choroba chroniczna. W przysłowiach mieści się zawsze skondenzowane doświadczenie całych pokoleń, a nasze stare przysłowie mówi: lepiej rozumem, niż tłumem. Będzie tedy zawsze tłum jako anormalny agregat ludzki, z reguły jako antyteza rozumu. A jeżeli rozum kiedy zapanuje tak wszechwładnie, że tłum, jako jego antyteza, stanie się tylko wspomnieniem już na zawsze przebytej fazy cywilizacyjnej? Wolno liczyć na to, że — *la raison finira par avoir raison*, wolno marzyć i o takich ideałach, byle one tylko uważane były zawsze — za ideały i nie zamącały trzeźwego poglądu ani na sytuację aktualną, ani na środki, w danej chwili potrzebne. Dopóki tak jest jak dzisiaj, do samego rozumu odwoływać się niemożna tam, gdzie go niema. Nie wypływa ztąd jednak, żeby społeczeństwo miało być w takiej sytuacji skazane na bezradność i niemoc. Gdzie do rozumu apelować nie można, tam prawo musi innemi środkami zastąpić

jego funkcyę, gdyż w przeciwnym razie dla dzieci, szaleńców i t. p. byłaby otwarta droga do bezmyślnego działania ze szkodą dla interesów własnych i dla dobra społecznego. Powaga prawa i władzy jako jego organu musi w takim razie wystąpić ze skuteczną interwencją, musi, a nie może tylko, bo tego wymaga główny cel prawa, utrzymanie porządku społecznego. Tłum ma według trafnej uwagi Tarde'a charakter dziecinny lub kobiecy, wpada z łatwością z jednej ostateczności w drugą, więc także i z zapamiętałości w tchórzostwo. Energiczne wystąpienie organu prawa w porę i ze środkami do danej sytuacji dobrze zastosowanemi, nigdy nie zawiedzie oczekiwań wobec tłumu. Ale trzeba dobrze pamiętać o tych warunkach skutecznej interwencji, gdyż tłum na widok nieudolnej lub nietaktownej interwencji prawa popaść może także w odwrotnym kierunku z jednej ostateczności w drugą, mianowicie z krzykliwej lekkości i braku decyzji w ślełą zapamiętałość i dziką stanowczość. Wtedy tłum, chociażby w nim byli *boni viri* w znacznej liczbie, przybiera już charakter *pessimae bestiae*, zdolnej i gotowej do wszystkiego, obojętnej na los własny i na dobro społeczne.



Wojewódzka Biblioteka
Publiczna w Opolu

CM 314462



000-314462-00-0

Wojewódzka Biblioteka
Publiczna w Opolu

CM 314462



000-314462-00-0